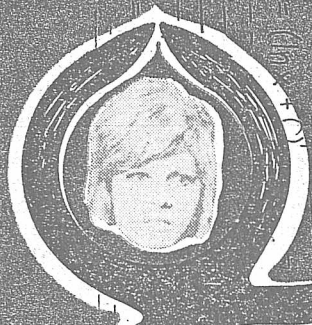


sigma



POLITECHNIKA WROCLAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

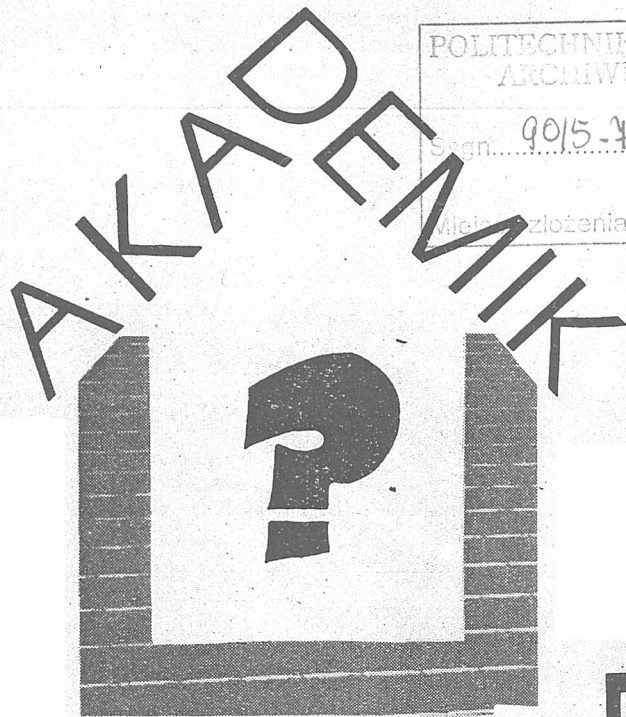
Sygn. 90/5-7(3)

7

37

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY
POLITECHNIKI WROCLAWSKIEJ

21/72



POLITECHNIKA WROCLAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

9015-4(37)

A 139

ALE

komu

Student starający się o miejsce w Domu Studenckim obowiązany jest (o ile oczywiście mieszkał w akademiku już wcześniej) — zaopatrzyć swoje podanie w opinię Rady Mieszkańców. Zwykle przewodniczący Rady — lub upoważniony przez niego kolega wpisuje w odpowiednią rubryczkę, wchodzącym do jego pokoju co kilka minut w porządku bezwładnym (i w sposób wysoce nieorganizowany) współmieszkańcom, oklepając formułkę: „Prośbę kolegi popieramy”, niekiedy dodaje słowo „bardzo”. Bo po pierwsze: miejsca w rubryczce mało, po drugie: po co komuś szkodzić, po trzecie: po co się narażać, po czwarte: o kolejności przyznawania miejsc w D.S. decyduje jak wiadomo średnia dochodowość roczna w rodzinie „na łebka”. Dowiedzieliśmy się jednak, że w ubiegłym roku przewodniczący Rady Mieszkańców „Olimpu” (przy ul. Wita Stwosza) zdecydował się na wpisanie kilku osobom następującej opinii (a raczej mini-opinii): „Nie popieramy. Na rzecz akademika nie przepracował ani godziny społecznie”. Mimo tej — negatywnej — opinii osoby te ... nadal mieszkają w domu studenckim.

Oto, co mi na ten temat powiedział przewodniczący Rady Mieszkańców „Olimpu” — student Wydziału Mechanicznego, Władysław Nowak:

„Dyrektor Pionu d/s Studenckich na naradach z aktywnym studenckim apelował do nas niejednokrotnie, abyśmy opiniowali podania starających się o miejsce w D.S.-ie obiektywnie — a obiektywnie, to znaczy przecież nie zawsze pozytywnie. I ja właśnie zaopiniowałem w zeszłym roku 8 podań negatywnie. Stało się tak dlatego, że mieliśmy w ubiegłym roku wiele pracy społecznej na rzecz naszego akademika: robiliśmy sobie boisko, lodowisko — no a przede wszystkim było sporo roboty przy wykopach, które miały Zakładowi Remontowemu Politechnikę ułatwić podłączenie naszego budynku

do elektrociepłowni — a co za tym idzie umożliwić wszystkim mieszkańcom „Olimpu” dogodniejsze korzystanie z ciepłej wody. Wielokrotnie powtarzaliśmy mieszkańcom D.S.-u, że tym, którzy nie przepracują 10 godzin przy tej pracy, podania o mieszkania zaopiniujemy negatywnie. No i wśród 290 mieszkańców — znalazło się kilku, którzy nie przepracowali nawet 4 godzin: 6 mechaników i 2 górników. Chciałem być konsekwentny, więc zaopiniowałem im podania negatywnie. Odpowiednią listę przesałem do Pionu d/s Studenckich i do dziekanów. Nie wiem co się stało ze studentami Wydziału Górniczego, natomiast mechanicy otrzymali miejsce w D.S.-ie — tyle, że niektórzy odpłatnie. Nikt nie zaprosił mnie na komisję przyznającą akademiki. Uważam więc, że jest to taka zabawa „w kotka i myszkę” — nikt się ze zdaniem Rady Mieszkańców nie liczy. Podobno w innych akademikach jest tak samo. Co się jeszcze dotyczy górników, to do „Olimpu” przyszli w tej sprawie dziekani — zrobiono szumne zebranie i w końcu ... dziekan mnie przeprosił. Oczywiście osoby, które otrzymały złe opinie, a mimo to mieszkają (niektórzy z nich mieszkają rzadko, chodziło im bowiem tylko o zameldowanie — tak naprawdę, to mieszkają u żon) w akademiku śmiały się potem ze mnie. Jeden groził napisaniem do ministra, bo podobno nie wolno mi w ogóle opiniować negatywnie. Inny dostał wkrótce potem nagrodę Rektora „za dobre wyniki w nauce i pracę społeczną” — wszyscy inni już się teraz moich opinii nie boją — miałem się okazję o tym przekonać. Poza tym dodać trzeba, że zdarzyło się, iż uczelniany ZMS naciskał na mnie w sprawie zmiany opinii mieszkańca, który ... pobił kolegę”.

Pytam kol. Nowaka, czy i w tym roku, jeśli zajdzie konieczność, wystawi opinie negatywne. Uśmiecha się smutno i mówi, że też. Mimo wszystko chce być konsekwentny. Z tym, że w

tym roku nie było takiego frontu prac, jak w ubiegłym — nie będzie więc takich kryteriów.

Niestety nie udało mi się porozmawiać z żadnym z tych studentów, którym wystawiono złe opinie. Porozmawiałem z dwoma przygodnie spotkanymi mieszkańcami „Olimpu” — obaj nie wiedzieli dobrze o co chodzi i nie mieli w tej sprawie żadnego zdania. Jeden powiedział mi tylko, że o ile wie, obecna Rada Mieszkańców nie cieszy się wśród mieszkańców wielkim poważaniem, a jej zarządzenia często nie są wcale przestrzegane.

Kilka dni później udałem się do Prodziekana d/s Studenckich Wydziału Mechanicznego doc. dr J. Kośmidera. Pan doc. J. Kośmider jest właśnie tą osobą, która przyznawała miejsca w D.S.-ach. Na wstępie doc. J. Kośmider zdziwił się, że o pretensjach przewodniczącego Nowaka dowiaduje się od przedstawiciela „Sigmy”, a nie od niego osobiście.

Zdaniem Dziekana nie można tak od razu pozbawiać kogoś dachu nad głową, tym bardziej że opisywana sprawa dotyczy osób o niskiej „dochodowości” w rodzinie. Jeśli Rada Mieszkańców uważała, że osoby te wykazują postawę społeczną, powinna inaczej zareagować. Usunięcie z akademika jest bowiem najcięższą karą i stosować ją należy w ostateczności. Jeśli nie pomogły rozmowy i perswazje — jeśli sami studenci nie potrafili samodzielnie rozwiązać tej sprawy, należało zawiadomić Dziekanat o tym odpowiednio wcześniej i umożliwić Dziekanowi przeprowadzenie rozmowy z zainteresowanymi osobami — bo przecież mogły być poważniejsze przeskody, które uniemożliwiły im wykonanie tej pracy. Może pracują społecznie gdzie indziej? może miały w tym czasie jakieś kłopoty? Pan Dziekan nie uważa bynajmniej, że nie należy stosować takiej kary, jak wykluczanie z akademika. Ale w przypadku, gdy przewinienie studenta nie nastąpiło nagle — skreślenie nie może być pierwszą stosowaną karą. Trzeba zawsze umożliwić Dziekanowi przeprowadzenie rozmowy wychowawczej. Reasumując: Dziekan uważa, że nie było wystarczających podstaw do wymierzenia najcięższej kary w postaci nie przyznania miejsca w Domu Studenckim.

Poza tym opinia zawierała przecież tylko stwierdzenie „nie popieramy”. Listę osób „niepopieraną” dostał Dziekanat dopiero od Pionu d/s Studenckich i to dopiero w ostatniej chwili. Kol. Nowak nie został zaproszony na komisję przyznającą miejsca w D.S.-ach, ponieważ ... komisji takiej nie było. Zwoływanie takiego organu w wydziale tak licznym jak Mechaniczny zajęłoby wielu osobom zbyt wiele czasu i to w okresie sesji. A i tak przecież nie można by było rozpatrywać każdego podania oddzielnie.

Do Dziekanatu wielokrotnie docierała opinia, że Rada Mieszkańców „Olimpu” nie spełnia swego zadania. Zdarza się, że wystawia Ona opinie negatywne studentowi, który pełni funkcję przewodniczącego grupy i którego chwali grupa i opiekun grupy. A sam przewodniczący wykazuje zadziwiającą niekonsekwencję. Ostatnio (lutym) podpisał wniosek o skreślenie z listy mieszkańców „Olimpu” 4 osób — a w rozmowie ustnej z Dziekanem stwierdził, że należy odebrać akademik tylko dwóm — przewinienia dwóch pozostałych nie były tak duże.

RADA MŁODSZYCH PRACOWNIKÓW NAUKI

Na początku roku akademickiego, w jednym z kolejnych numerów „Sigmy” (bodaże nr 33) ukazała się krótka notatka informująca o powołaniu Rady Młodszych Pracowników Naukowo-Dydaktycznych Politechniki Wrocławskiej. Prawdopodobnie kilkudzaniowa informacja na ten temat nie wywołała głębszego zainteresowania Czytelnika, przyzwyczajonego przez nasze środki masowego przekazu (w mniejszym stopniu może „Sigmę”) do tego, że stale, aby coś polepszyć, poprawić powołuje się Rady, Zespoły etc. etc. W rzeczywistości, powołanie Rady było konsekwentnym podjęciem przez Kierownictwo Uczelni bardzo ważnego problemu — spraw nurtujących środowisko młodszych pracowników naukowo-dydaktycznych.

Przedstawiciele młodszych pracowników (w liczbie do 3, w zależności od wielkości instytutu), wybrani na walnych zgromadzeniach wszystkich młodszych pracowników (od stażysty do adiunkta i starszego wykładowcy włącznie) zasiedli jako reprezentanci w Radach N-D instytutów. Przedstawiciele poszczególnych instytutów oraz studiów, wraz z osobami powołanymi przez Rektora na wniosek Komitetu Uczelnianego PZPR i Rady Zakładowej ZNP, utworzyli uczelnianą reprezentację młodszych pracowników — wymienioną już wyżej Radę Młodszych Pracowników. 3-osobowe Prezydium Rady reprezentuje młodszych pracowników w Senacie Politechniki.

Rola i zadania Rady zostały przez Senat sprecyzowane następująco: oczekujemy od Was opinii na temat istotnych przedsięwzięć podejmowanych przez Uczelnię, ale też oczekujemy od Was uwag, wniosków i postulatów pod adresem Szkoły, w imieniu grupy młodszych pracowników. Koniec. Całość waszego programu działania wypracujecie sami.

Nie mając żadnego pierwowzoru Rada zaczynała praktycznie wszystko od początku — przepraszam, nie wszystko, istniały od szeregu lat sprawy i problemy, do których rozwiązania nie przykładano się w sposób kompleksowy. I od tego trzeba było zacząć. W szeregu dyskusjach wewnętrznych zaczęto rejestrować problemy, których sygnalizacją i jeżeli to możliwe, także rozwiązaniem powinna się zająć Rada. Problemy te zdeterminowały tak strukturę Rady jak i wyznaczyły program działania na najbliższy okres. Powołano ze składu Rady (42 osoby) pięć zespołów roboczych.

Wszystkie zespoły po dyskusjach roboczych przedstawiały plany swoich przedsięwzięć. I tutaj się okazało, że w wielu wypadkach, przy pełnej zgodności co do występowania określonego problemu, brak jest jednolitego zdania tak co do interpretacji jak i kierunków działania, zgłaszania wniosków etc. etc. Lapidarnie można by to ująć określeniem, że odczuwaliśmy brak fotografii stanu aktualnego, tak w ujęciu ilościowym jak i jakościowym. Stąd też narodziła się koncepcja opracowania ankiety i rozprowadzenia jej wśród młodszych pracowników. Ankieta przede wszystkim miała odpowiedzieć nam na pytanie: jakie sprawy hamują rozwój naukowy młodych pracowników i co powinno się zrobić w celu przyspieszenia tego procesu. Wspólnie z Zespołem Socjologicznym Instytutu Nauk Społecznych taką ankietę opracowano i prawdopodobnie w chwili ukazania się niniejszego artykułu w „Sigmie” Rada będzie już na etapie opracowywania zebranych ankiet. Wyniki tego rozpoznania jak również do końca sprecyzowane sprawy programowe Rady znajdują na pewno swoje odbicie na łamach „Sigmy”. Tak przedstawiałby się jeden kierunek działania Rady — od młodszych pracowników

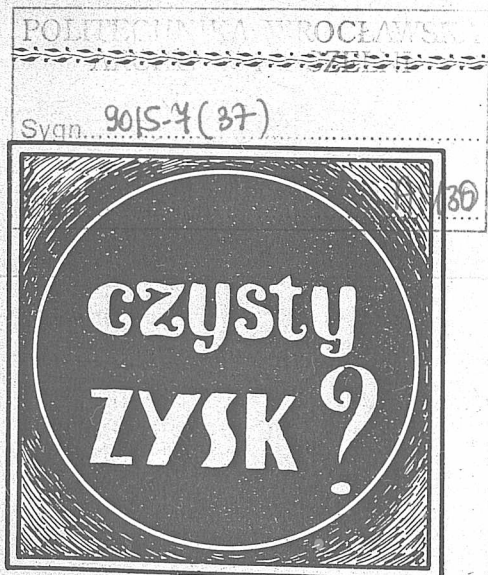
do Kierownictwa Szkoły. Równolegle Rada włączyła się do dyskusji zainicjowanej przez Uczelnię, a dotyczącej dwóch podstawowych spraw: przyszłego modelu naszej Uczelni — koncepcji Uniwersytetu Technicznego i wiążącej się z tym, sprawy kształcenia młodej kadry.

Zaczelśmy dyskusję, wspólnie z nowo utworzonym Pionem Kształcenia Kadry Naukowej (PKKN) na temat przyszłego modelu studiów doktoranckich, jako jednego z elementów procesu kształcenia kadry. Zamierzamy odbyć w szeregu instytutach spotkania ze słuchaczami studiów, a wnioski i postulaty przedstawić w PKKN.

Równocześnie Rada zamierza odbyć dyskusję w gronie młodszych pracowników na temat modelu Uniwersytetu Technicznego. Z zarysowanej przez Kierownictwo Szkoły koncepcji, jednoznacznie wynika, że nam, aktualnie młodym pracownikom, w przyszłości przypadnie rola realizatorów koncepcji Uniwersytetu Technicznego. Ale, żeby realizacja była prawidłowa, żeby młodzi pracownicy byli do końca przekonani do idei Uniwersytetu Technicznego, muszą już dzisiaj współuczestniczyć w tworzeniu koncepcji. I taką możliwość Rada chce stworzyć wszystkim młodym pracownikom.

Sądzę zresztą, że do tych problemów, jak również do wielu spraw nurtujących środowisko młodszych pracowników nauki będziemy na łamach „Sigmy” wracać. Będą to już konkretne problemy i konkretne przedsięwzięcia Rady, będące wynikiem tych zamierzeń, które skrótowo i w sposób informacyjny starałem się w tym artykule naświetlić.

KAZIMIERZ CZECHOWICZ



kamentów z nim się wiążących omawialiśmy już poprzednio na łamach „Sigmy”.

Tym razem chcemy zasygnalizować jeszcze jeden problem — natury ekonomicznej.

Decydując się na pobranie stypendium, student widzi w tym niejednokrotnie możliwość poprawy swej sytuacji finansowej. Nie jest tajemnicą, że stypendia te wyższe są od państwowych. Sto złotych mniej a sto więcej przy budżecie nie przekraczającym kilku setek, nie jest sprawą całkowicie obojętną.

Kiedy świeżo upieczony „stypendysta fundowany” kalkuluje sobie, co za te dodatkowe sto zł będzie mógł kupić, jak grom z jasnego nieba spada na niego wiadomość, że nie tylko nic nie zarobi, ale nawet dopłacić będzie musiał do tego „interesu”. JEST BOWIEM

PRZEPIS. Usankcjonowany, zatwierdzony i w dzienniku ustaw zapisany. Głosi on, że studentowi, który pobiera stypendium fundowane nie przysługują albo stypendium stołowe albo mieszkaniowe.

Rachunek jest prosty. Jeżeli ktoś poprzednio dostawał całkowite stypendium państwowe (650 zł) (opłata za stołową i akademik 260 zł), a obecnie ma fundowane (750 zł) i nie ma stołówki (opłata 430 zł) będzie go to kosztowało na czysto 70 zł miesięcznie.

Celowo wybrałem wariant „pośredni”. Na stypendiach fundowanych można stracić więcej. Nie wiem, jakim celom służy przepis z „Dziennik ustaw”. Jeżeli ma być on zachętą do brania stypendium fundowanego to chyba bardzo wątpliwa.

MAŁGORZATA MICHALAK

Stypendia fundowane nie są niestety systemem doskonałym. Szereg man-

KULTURALNE MORDOBICIE

Z prośbą, abyśmy zajęli się tą sprawą, zwrócili się do nas członkowie zespołu „Nurt”.

„Nurt” jest zespołem muzycznym „mocnego uderzenia” — w całym tego słowa znaczeniu. Powstał w lutym ubiegłego roku i jest kontynuacją zespołów „Dogmaty” i „Awers”. A wspomniana sprawa? Chodzi tu o wydarzenie jakie miało miejsce w dniu 4 grudnia ubiegłego roku w klubie Zakładów Badawczych i Projektowych Miedzi „Cuprum” i o jego konsekwencje — odwołanie przez ZSP swojego patronatu nad tym zespołem.

Członkowie zespołu zaprosili mnie do „Pałacyku” na rozmowę. Oto w streszczeniu ich relacja:

ZSP patronowało przez trzy lata zespołom „Dogmaty” i „Awers”. Współpraca przez cały czas układa się pomyślnie. W lutym 1971, ZSP przyjęło również patronat nad powstałym „Nurtem”. Aktualnie w zespole grają 4 osoby, z których 2 jest studentami. „Nurt” grywał w klubie T-2, gdy w czasie wakacji działał „Interklub” — w „Interklubie”. Prócz tego zespół dał społecznie (czyli bezpłatnie) kilkanaście koncertów pod firmą ZSP, a kierownik grupy — Wojciech Olejnik — prywatną aparaturą przez okres 3 lat obsługiwał mnóstwo ZSP-owskich imprez. Ekwiwalent pieniężny jaki za to otrzymywał był wręcz symboliczny i nie pokrywał „kosztów własnych”. Ludzie, którzy weszli w skład władz Rady Uczelnianej ZSP w końcu 1970 r. nie znali tego całego trudu zespołu i od początku uprzedzili się do niego. Pierwszym zgrzytem było zerwanie umowy w czasie wakacji z „Interklubem”. Zespół przynajmniej, że grał zbyt głośno — skarżyli się na to mieszkańcy okolicznych domów, ale umowa zerwana została złośliwie — na godzinę przed występem. ZSP w dalszym ciągu firmowało i patronowało „Nurtowi”. Ciągnęło z niego zyski! 30% zarabianych pieniędzy odprowadzanych było do RU ZSP. Nazywało się to: „pieniądze zespołu w gestii RU”. Uzbierało się tego 16 tysięcy i obiecano za to chłopcom wycieczkę do Związku Radzieckiego. Wreszcie w dniu 4 grudnia Rada Uczelniana zleciła „Nurtowi” występ na „Barburce” w klubie „Cuprum”. I właśnie tam doszło do przykrego incydentu. Wojciech Olejnik pokazuje mi pismo „Cuprum” do Rady Uczelnianej z dnia 15.XII.1971 (w posiadanie tego pisma wszedł drogą nielegalną). W piśmie tym pisze się m.in.:

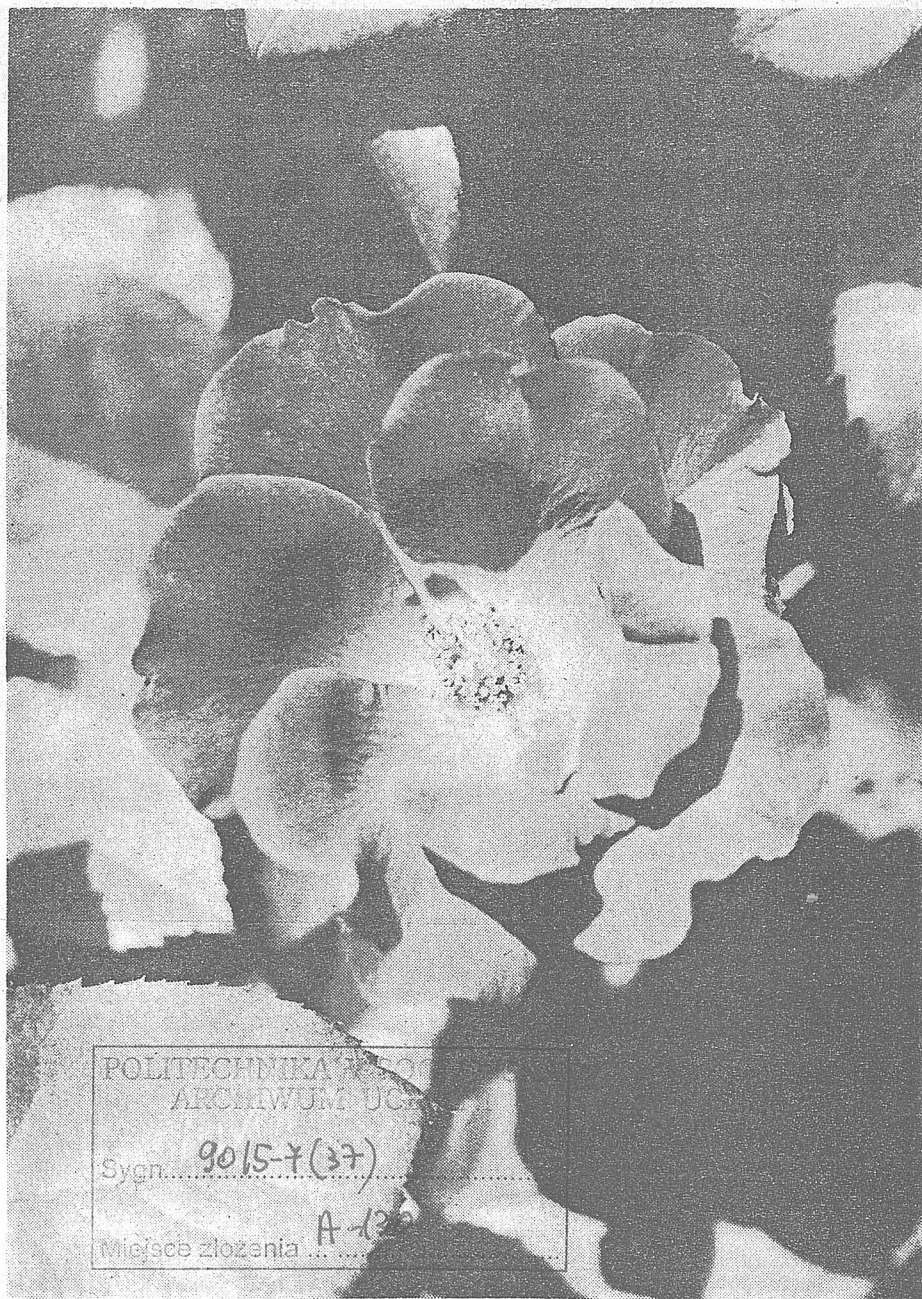
„Charakter muzyki jaką zaprezentował zespół muzyczny, nie odpowiadał wymogom stawianym zespołom muzycznym przede wszystkim ze względu na zbyt duży hałas wydawany przez aparaturę nagłaśniającą oraz rodzaj wykonywanych utworów. ... przed podpisaniem umowy kilkakrotnie przeprowadzano rozmowy z ZSP i ustalono jednoznacznie o przysłaniu zespołu muzycznego, który ma przygrywać do tańca. Przeprowadzone kilkakrotnie rozmowy i prośby z elektrykiem Ob. W. Olejnikiem o wyciszenie aparatury nie dały żadnego efektu, a wręcz przeciwnie odniosły skutek tzn. członkowie zespołu coraz głośniej grali, tłumacząc cały czas przez mikrofon, że dla „Cuprum” nie zmieniają swojego repertuaru

i że to jest muzyka wyłącznie dla młodzieży, że dla „starszych dziadków” grać nie będą i na drugi raz należy sobie zaangażować orkiestrę strażacką, że zabawa jest skończona ponieważ zespół w imieniu ZSP zrywa umowę”. i dalej „W pewnym momencie jeden z członków zespołu Ob. W. Olejnik uderzył mikrofonem jednego z organizatorów zabawy Ob. mgr K.S. (ze zrozumiałych względów autor zdecydował się na niepodanie pełnego brzmienia nazwiska — jak to ma miejsce w piśmie) w głowę. Po rozdzieleniu stron okazało się, że ob. K.S. miał rozbitą głowę i musiał się udać na Pogotowie Ratunkowe”. Pod pismem są podpisy Sekretarza oraz Przewodniczącego Rady Zakładowej Z.B. i P.M. „Cuprum”.

Otóż członkowie „Nurtu” twierdzą co następuje: spóźnili się na imprezę z przyczyn od nich niezależnych — „Cuprum” zobowiązał się do załatwienia transportu i „nawali”. Gdy przybyli

na miejsce wiele osób było już w stanie nietrzeźwym — łącznie z organizatorami. Jest prawdą, że uczestnicy zabawy oczekiwali innego typu muzyki, niż prezentuje „Nurt” i że „Nurt” grał głośno — ale taki jest charakter zespołu i winę za rozczarowanie gospodarzy ponosi ZSP — no bo po co delegowało tu taki zespół. Nieprawdą jest, że złośliwie grali coraz głośniej: starali się grać ciszej ale to po prostu nie było możliwe. Przez cały czas spotykali się ze złośliwymi uwagami w rodzaju „do fryzjera mały nieostrzyżony”. Nieprawdą jest, że nazwali uczestników zabawy „starszymi dziadkami”. Powiedzieli tylko przez mikrofon „Bardzo Państwa przepraszamy, ale widocznie Państwu potrzebna jest orkiestra strażacka”! Po tym pan S. wyrwał mówiącemu mikrofon niszcząc go. Mikrofon ten był prywatną własnością p. Olejnika. Jak się wyraził — był to dorobek całego życia, dorabiał się sprzętu

Fot. K. Dudek



przez 10 lat! Ruszył więc na jego obronę, doszło do bójki — no i pan S. dostał w głowę. Wówczas mnóstwo ludzi rzuciło się na pomoc panu S., wywiązała się bójka. Olejnikowi uniemożliwiono wezwanie milicji, dopiero później wyzyskując znajomości pewnego uczestnika zabawy wezwano MO, która zabrała Olejnika na komisariat, z którego zwolniono go nazajutrz o godz. 9-tej rano.

Na podstawie pisma, którego fragmenty przytoczono powyżej, ZSP wykluczyło członków zespołu z organizacji i odmówiło dalszego patronowania zespołowi. Stało się to na 24 godziny przed planowanym wyjazdem na „Festiwal Młodzieżowej Muzyki Współczesnej” do Kalisza — „Nurt” miał tam reprezentować wrocławskie ZSP. W efekcie pojechał tam prywatnie (na własny koszt) i zdobył jedną z pięciu głównych nagród. Zespołem interesuje się teraz i T. Stańko i ZMS i „Impart” i „Wrocławski Ośrodek Kultury”. Chłopcy z „Nurtu” chcieliby jednak powrócić do ZSP. Na koniec jeszcze informacja. Za występy w „Cuprum” występująca tam też (lecz kilka godzin wcześniej) „Elita” otrzymała 2,5 tys. zł, „Nurt” tyleż samo, a „Cuprum” wypłaciło RU ZSP 10 tys. zł. Gdzie podziła się reszta? „Nie jestem człowiekiem z jakiegos tam marginesu, pracuję jako technolog w jednym z wrocławskich zakładów (na prośbę mówiącego nie podaję w jakim — przyp. Z.S.) — mówi na koniec Wojciech Olejnik — a jeżeli chodzi o wydarzenia w „Cuprum” to złożyłem też oświadczenie na piśmie do Rady Okręgowej i do Rady Uczelnianej ZSP — bez echa jednak”.

Podkreślam raz jeszcze, że wszystkie powyższe wywody pochodzą z ust członków zespołu „Nurt” — ja je tylko notowałem. Od siebie mogę dodać, że zespół zrobił na mnie wrażenie miłych i inteligentnych (choć długowłosych) chłopców.

W dwa dni po tej rozmowie udałem się do Rady Zakładowej Z.B. i P.M. „Cuprum”, by posłuchać, co powiedzą organizatorzy niesławnej „Barburki”.

Oto zanotowane przeze mnie ich wyjaśnienia:

„Nurt” spóźnił się na występ — dlaczego? — trudno powiedzieć. Na czyjąś uwagę na ten temat odpowiedziano „dziadku, dziadku, do rana jeszcze się naskaczysz”. Wszystko to co zawarte było w piśmie do Rady Uczelnianej jest prawdą. Może to w każdej chwili poświadczyć 300 osób, które były obecne na balu. Rodzaj muzyki absolutnie nie odpowiadał uczestnikom zabawy. Było tak głośno, że osoby siedzące tuż obok siebie musiały do siebie krzyczeć — a i tak jeszcze się nie słyszano! Organizatorzy ciągle podchodzili do zespołu i prosili: grajcie ciszej! Nic nie pomagało — w odpowiedzi słyszeli złośliwe uwagi „o dziadkach”, „straży pożarnej” itp. wypowiedziane z estrady przez członków zespołu do mikrofonu. Na sali byli zaproszeni goście m. in. z Ministerstwa, z Wyższych Uczelni — i organizatorzy nie mogli pozwolić, by ubliżał im zespół, który miał grać do tańca, któremu za to płacono. Wspólnie uzgodniono więc, że zrywa się umowę. Na koniec jeden z grających powiedział przez mikrofon, że tu widocznie potrzebna jest orkiestra strażacka. Na to stojący w pobliżu pan K.S. próbował wyrwać mu mikrofon z ręki, przy czym oderwał przewody. Będący zupełnie gdzieś indziej pan Olejnik podbiegł i tymże mikrofonem uderzył pana S. w głowę rozcinając ją, Pogotowie

Ratunkowe musiało założyć 3 klamry. A gdyby uderzono w skroń? Czy fakt, że nadniszczono drogi i prywatny sprzęt upoważnia do bicia mikrofonem po głowie? Na pewno nie. Inaczej się te sprawy załatwia! Pan Olejnik krzyczał zresztą i później, że zabije winnego! że ten mikrofon to dla niego wszystko! że on żyje wyłącznie z takich koncertów! Na to wszystko jest wielu świadków. Oczywiście po pierwszym ciosie wywiązała się bójka. Cała sala była oburzona zachowaniem się zespołu. Wyprowadzono zespół z sali — w jakimś innym pomieszczeniu (biurze) członkowie zespołu ze złości rozbili o podłogę telefon, na stoliku do dzisiaj stoi nadłuczony wazonik (sam widziałem). Jest absolutnym kłamstwem, że pan Olejnik chciał wezwać MO — raczej przeciwnie! Milicjanci przybyli jednak i zabrali go na komisariat. Miała być rozprawa w trybie doraźnym za chuligaństwo i pan Olejnik dobrane o tym wie! To „Cuprum” załogowało sprawę — nie chciało bowiem „niszczyć” studentów! Co się tyczy pieniędzy, to wypłacono ZSP tylko 5 tys. — uważając, że za występy „Nurtu” nic się nie należy. Zabawa potoczyła się zresztą dalej przy innej orkiestrze. A co się tyczy tego, że na sali byli pijani — jak to twierdzili „nurtownicy” — to zespół muzyczny nie jest powołany do tego, żeby wydawać opinie na temat bawiących się. Jego obowiązkiem jest grać. (Wielu z obecnych twierdziło natomiast, że członkowie zespołu przybyli do pracy pod wpływem alkoholu).

Tyle dowiedziałem się w Radzie Zakładowej „Cuprum”.

I wreszcie udałem się do Rady Uczelnianej ZSP, gdzie informacji na interesujący mnie temat udzielił Przewodniczący Rady Uczelnianej. Oto ona:

Po pierwsze — w zespole „Nurt” nie ma ani jednego studenta. Są tam tylko byli studenci. „Nurt” istotnie wywodzi się z zespołów „Dogmaty” i „Awers” — ale skład zespołu wielokrotnie już się zmieniał. Co się tyczy wypożyczania sprzętu przez Olejnika, to za każdy dzień wypożyczenia otrzymywał on za to 600 zł! Pieniądże, o które „Nurt” ma pretensje — nie należą do zespołu. Są odpowiednie przepisy prawne, które pozwalają brać taki (30%) podatek od wynagrodzenia za występy. Pieniądże te RU przeznacza na dofinansowanie innych zespołów. Bez patronatu — zespół nie zarobi ani grosza, bo nikt go nie zaangażuje. Jeżeli 16 tysięcy — to 30% — to ile zespół zarobił na tej współpracy z ZSP? Jeśli chodzi o wycieczkę do ZSRR, to poprzedni kierownik Komisji Kultury obiecał zespołowi (ale nie w tym składzie, w którym gra on obecnie), że jak będzie możliwość, to pojedzie on do Związku Radzieckiego drogą wymian — na koncerty. Ponieważ aktualnie nikt nam takiej wymiany nie proponuje, więc nie ma gdzie zespołu wystać. Pierwszy zgrzyt ze strony „Nurtu” nastąpił we wrześniu ubiegłego roku: grając w „Interklubie” zespół zobowiązał się grać tak głośno (cicho), jak tego zarządzą gospodarze klubu — mimo ustawicznych napomnień nie dotrzymywał tego punktu umowy, więc ją zerwano. A za każdy dzień gry w czasie wakacji, każdy z członków grupy otrzymywał 60 zł.

Co się tyczy precedensu w „Cuprum” to „Nurt” zobowiązał się grania cichego i „do tańca”. Owszem, błędem było wysłać na zabawę taneczną zespół mocnego uderzenia — ale to nie powód, by wszczynać awanturę. Po

piśmie, jakie otrzymano z „Cuprum” postanowiono zerwać umowę z „Nurtem”. ZSP nie może tolerować, aby firmowany przez nią zespół był organizatorem (lub był się z nimi — Z.S.). Jeśli uważa on, że ktoś niszczy jego sprzęt, to od tego są właściwe organa. To nie wymaga chyba komentarza. Poza tym, to już drugi wybryk „Nurtu”. W zespole tym nie ma studentów — ZSP nie będzie już mu zatem nigdy patronować. Będziemy patronować i pomagać zespołom związanym z kołem studenckim. To, że członkowie „Nurtu” dowiedzieli się o decyzji ZSP dopiero na 24 godziny przed wyjazdem do Kalisza, to niedopatrzenie jednego z działaczy w Radzie Okręgowej, ale przeciwie przewinienie zespołu było tak duże, że decyzje należało wprowadzić w życie natychmiast (jeszcze przed Festiwalem).

ZBIGNIEW SZTUBA

Słuchając wszystkich stron nasuwa się pytanie — dlaczego doszło do tego incydentu? Kto jest odpowiedzialny za niego? Dlaczego Rada Uczelniana mając już pewne doświadczenia z zespołem „Nurt” zdecydowała się wystać go na zewnątrz do CUPRUM, mimo iż organizatorzy wyraźnie zastrzegali sobie charakter zespołu, który chcieli widzieć na swojej „Barburce”? Dlaczego Rada Uczelniana patronowała zespołowi, w którym są byli studenci? Co się z nimi stało? Czyżby przerwali studia? Nasuwają się także pytania dotyczące polityki organizacji młodzieżowych w patronowaniu studenckim zespołom kulturalnym, wpływu na ich profil i program. Jak wyglądała współzależność wyników w nauce i ogólnej postawy studentów — członków zespołów kulturalnych z ich możliwościami działania w tych zespołach; oni przecież też zaliczają się do aktywni, a wobec aktywni są przyjęte określone kryteria.

Czyżby zespół „Nurt” zwracając się do SIGMY szukał zadośćuczynienia za „krzywdę” wyrządzoną mu przez Radę Uczelnianą, przez organizatorów „Barbórki” w CUPRUM? Czyżby zespół mający już jakieś osiągnięcia, grywający na niejednym wieczorku, był zaskoczony atmosferą panującą na sali? faktem, że organizatorzy byli, w relacji zespołu, nietrzeźwi? Chyba nie, skoro czynił starania, aby pozostawić po sobie jak najlepsze wrażenie? Czy mu się to udało?

Przy tej okazji chcielibyśmy poruszyć problem z naszego podwórka — organizacji wieczorków tanecznych w klubach studenckich. Fakt nie zawsze najlepszego zachowania się zespołów, szczególnie w czasie wakacji, nie należy do najradszych. Charakter muzyki granej przez te zespoły odpowiada stosunkowo wąskiej grupie studentów, zaś zwabia niestudentów, których organizatorzy wpuszczają, aby „ratować kasę” co nadaje imprezie „odpowiedni poziom”. Dlaczego wieczorki w klubach studenckich są tylko ubawami, często bardzo głośnymi, w których nie spotkamy elementów dobrej zabawy? Czy Rada Uczelniana nie mogłaby, idąc dalej za specjalizacją działalności kulturalnej w klubach, wyspecjalizować kluby w charakterze muzyki granej na wieczorkach, tak aby umożliwić wielbicielom innych form muzyki tanecznej relaks po całonocnej nauce? A może by tak jeszcze jakiś program na takim wieczorku?

REDAKCJA

XV

lat

ZMS

POLITECHNIKA WROCLAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn. 9015-4 (37)

A 130

Miejsce złożenia

rocznica czy etap ?

A formułując to bardziej lapidarnie — dużo, czy mało? Zamiłowanie do obchodzenia różnego rodzaju rocznic — tych mniej i tych bardziej potrzebnych — staje się już niemal naszą cechą narodową. Gdzie w takim razie jest różnica między tym co nazywamy rocznicą, a tym co można nazwać etapem? Celebrowanie rocznic polega na wyciągnięciu z naszej historii jakiegoś faktu, bądź instytucji (przy czym instytucją może być tu również człowiek i jego życie), przypomnieniu o jej zamierzonej egzystencji i wywieszeniu na transparentach kilku haseł czy twierdzeń, na których i tak już dawno zbudowaliśmy nie tylko nasze państwo, ale wychowujemy już drugie pokolenie. To wszystko ... i w ten spo-

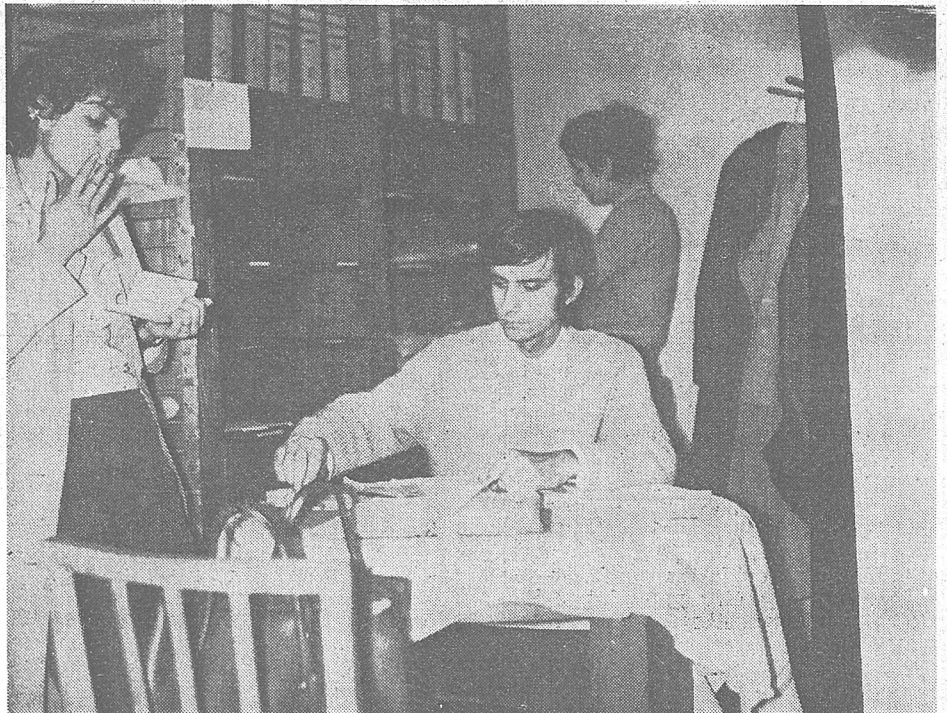
sób taka uroczystość rocznicowa nie koresponduje zupełnie z przyszłością. Jest świętem samym w sobie, przy obchodzeniu którego coraz bardziej popadamy w rutynę. Etap natomiast ma to do siebie, że choć jest mu przypisana pewna cyfra określająca ilość lat egzystencji jakiejś instytucji, czyli jednocześnie jakiś багаż historii i wspomnień, to jednak zawsze takie święto jest świetną bazą do pewnych wniosków i rad na przyszłość i ściśle z tą przyszłością koresponduje. Celowość podkreślania takich etapów jest więc dużo większa, gdyż nie kończy się na zmianie cyferki przy jakimś tam — „leciu”, ale jest również punktem wyjścia do nowego, najczęściej innego etapu życia danej instytucji.

Artykuł niniejszy ma traktować o organizacji ZMS. Każdemu, kto w jakiś sposób żył się z tą organizacją najłatwiej byłoby napisać na jej temat książkę ... albo stwierdzić, że po prostu jest. Wśród społeczności studenckiej zajął już ZMS określoną pozycję, wtopił się w to co nazywamy „życiem studenckim”. Od momentu jego powstania minęło już przecież 15 lat.

Było to w 1957 r. Dwudziestego piątego kwietnia, w miejsce zlikwidowanego ZMP powołano do życia nową organizację młodzieżową — Związek Młodzieży Socjalistycznej. Powstała ona jako dziecko odnowy politycznej w naszym kraju. Była w środowisku młodzieży swoistym przedstawicielem nowej myśli politycznej partii i rządu po 56 roku.

Dzisiaj po 15 latach nastąpiło coś w rodzaju specjalizacji funkcji i zadań organizacji w odpowiednich środowiskach społecznych. Weszła ona wszędzie tam, gdzie znajduje się młodzież. Między innymi — na wyższe uczelnie. Działalność ZMS wśród studentów nabiera bardzo specyficznych i szczególnych cech. Staje się szczególnie ważna dla organizacji w ogóle, ale i bardzo trudna. Zadania i metody działania są tu bowiem uwarunkowane — z jednej strony kapitalnym znaczeniem jakie środowisko to będzie miało dla całego kraju tworząc w przyszłości jego awan-

gardę społeczną, z drugiej zaś strony — ponad przeciętnym poziomem intelektualnym członków tej społeczności, na którą organizacja winna oddziaływać. Stąd też prosty wniosek, że sposoby jakimi organizacja ma kształtować środowisko studenckie muszą być co najmniej adekwatne do tegoż poziomu intelektualnego. Nie chcę tu powiedzieć, że ZMS studencki jest lepszy od ZMS-u młodzieży robotniczej, czy szkolnej. Jest po prostu inny. Na czym polega ta „inność”, specyfika form pracy? Oto typowy przykład — jak wiadomo Związek Młodzieży Socjalistycznej jest organizacją polityczną. Jako taki powinien więc kształtować marksistowski światopogląd swoich członków. Ale przecież w środowisku studenckim, w którym wszyscy posiadają odpowiedni zasób wiedzy historycznej i filozoficznej, dawno już przestano dyskutować nad tym „czy socjalizm jest zły, czy dobry?” Dla każdego, kto posiada do minimum wiedzy historycznej o naturalnym rozwoju kolejnych formacji społeczno-ekonomicznych — socjalizm jest naturalną i nieuniknioną konsekwencją tej ewolucji form stosunków społecznych. I każda dyskusja na temat jego słuszności wydaje się dziś trochę śmieszna i dziecinna. Działalność organizacji politycznej w środowisku studenckim w sferze kształtowania tychże poglądów politycznych, skupiła się na innym problemie przesuwając się niejako na wyższy etap. Można go hasłowo określić — „jak robić tzw. dobry socjalizm, jak go sprawnie realizować?” Bo właśnie do rozwiązania tego problemu najbardziej predystynowani są studenci, przyszli „oficerowie” przemysłu, kierownicy i organizatorzy. Kiedyś jeden z popularnych działaczy ZU ZMS powiedział, że „dobra czy zła zupa w stołówce studenckiej jest też polityczna”. Nie trzeba się tu odwoływać do filarów myśli marksistowskiej typu — „był kształtuje świadomość” by w trafnym podtekście tego stwierdzenia doczytać się, iż to wszystko co tworzyło zasadniczy desygnat określenia „sfery politycznych oddziaływań” uległo du-



żemu rozszerzeniu (żeby nie powiedzieć — zmianie). Chyba właśnie stąd wynika dający się zaobserwować w ZMS kryzys pracy szkoleniowo-politycznej, gdyż ciągle są trudności ze zbudowaniem nowego modelu szkolenia, który uwzględniłaby powyższe zmiany. Jedno jest pewne — że ZMS w swojej pracy politycznej zostawił już za sobą metody mżonek, bezpłodnych odczytów i jałowej propagandy. Szczególnie wyraźnie wychodzą temu na przeciw ostatnie przemiany polityczne w naszym kraju, kiedy dyskusja polityczna spadła z trybun i transparentów w umorusane ręce robotników.

Wraz z pojawieniem się organizacji młodzieżowej powstał w środowisku dość dziwny i niezrozumiały do końca twór, który nazwano „działaczem organizacyjnym”. Status jaki zdążył sobie on wytworzyć w środowisku studentckim jest więc ciągle dyskusyjny, ganiony przez jednych i chwalony przez drugich. W wyobrażeniu tej zupełnie pasywnej i lekko znudzonej części naszego środowiska pod pojęciem działacza znajduje się najczęściej człowiek wysoko postawiony w hierarchii organizacyjnej, mający do dyspozycji sztab ludzi i prowadzący mniej lub bardziej udane akcje czy imprezy, mając na celu nie wiele ponad osiągnięcie prywatnej korzyści — chociażby w postaci lepszej pozycji przy rozdziale świadczeń, czy praktyki zagranicznej. Nic dziwnego, że te infantylne sądy szerzą się w kręgach, które z pracą w organizacji, czy z pracą społeczną w ogóle nie miały i pewnie nigdy nie będą miały nic wspólnego. Co to znaczy w takim razie być tzw. działaczem i kto nim jest? Sądzę, że długi staż pracy w organizacjach młodzieżowych predystynuje mnie w pewnym stopniu do podjęcia próby takiej definicji. Otóż w moim odczuciu działaczem można nazwać każdego, kto w swoich zachowaniach wykazuje pewne minimum odruchów altruistycznych, które notabene są jednym z kryteriów zdrowia psychicznego człowieka. To znaczy, że działaczem jest zarówno ten, który pełni określoną funkcję w organizacji jak i ten, który przesiedział dwie noce nad dekoracją na bal wydziałowy i to tylko dlatego, że „ktoś

to przecież musiał zrobić”. Na łamach „Sigmy” pisano ostatnio o „kryzysie działacza”. Czy rzeczywiście kryzys...? Odpowiedziałbym, że chyba tak, ale jest to kryzys tylko pewnej kategorii działaczy — mianowicie tej grupy ludzi, którzy w pracy organizacyjnej wykazują pewną indolencję, niedyscyplinowanie i niesolidność. Polega on na tym, że od pewnego poziomu jakościowego organizacja zaczyna dobierać sobie ludzi na zasadzie tzw. selekcji pozytywnej, czyli wyboru tych najlepszych. W organizacji ZMS-owskiej w naszej Uczelni zdarzały się ostatnimi czasy wypadki, kiedy zrezygnowano z pewnych ludzi, twierdząc po prostu, że do pracy się nie nadają. Zaczyna bowiem obowiązywać zasada preferowania nie tyle dobrych chęci, co realnych efektów pracy. Niejeden z tych, z których organizacja rezygnuje zraża się później do niej czując się pokrzywdzonym i twierdząc — „przecież ja chciałem”. No tak, panowie studenci — tylko, że jesteśmy już dorosłymi ludźmi i trzeba sobie w końcu zdać sprawę, że za samo „chciałem” — nikt nam w życiu nic nie da.

Dzieląc się tymi kilkoma uwagami na temat ZMS z okazji jego XV-lecia, wydaje mi się, że celowym by było zwrócenie uwagi na pewne zjawisko bardzo charakterystyczne dla życia organizacji w Uczelni. Otóż dość często próbuje się u nas porównywać działalność ZMS-u z ZSP. Wydało mi się, że każde takie porównanie jest z gruntu nieuczciwe, bez uprzedniego określenia immanentnych różnic między tymi organizacjami. Zrzeszenie Studentów Polskich jest bowiem organizacją pełniącą funkcję swego rodzaju związku zawodowego studentów, jest więc organizacją, która „daje”. Jako taka, posiadając grupę aktywistów, może sobie pozwolić na tolerowanie całych rzesz konsumentów. I dopiero jako taka spełnia dobrze postawione przez nich zadanie. ZMS jako organizacja polityczna, czyli organizacja mająca poważną funkcję wychowawczą — musi być organizacją, która „daje”, ale i „żąda”. Już z samej genezy nie może sobie pozwolić na tolerowanie „martwych dusz” w swoich szeregach. Dlatego też pewnym idealnym modelem

tej organizacji byłaby sytuacja, kiedy aktywistami będzie można nazwać wszystkich jej członków. A wszyscy zdajemy sobie sprawę, że z tą aktywnością wciąż nie jest najlepiej — szczególnie w kołach ZMS na poszczególnych latach. Po 15 latach istnienia ZMS w Uczelni mamy dziś ciągle sprawny i dobrze zorganizowany aktyw instancji kierowniczych do Zarządów Instytutowych włącznie. W pracy organizacji wyłoniły się pewne osiągnięcia, które na stałe weszły do programu działania — wymieniając chaotycznie choćby takie jak analiza i współudział w kierowaniu procesem dydaktycznym, Dyskusyjny Klub Filmowy, AAKF „Kwant” — z pierwszą w historii Uczelni Kroniką Filmową, Turnieje Wiedzy Politycznej, działające kluby, akcja druku skryptów, obóz międzysemestralne „Ideologia” i letnie (między innymi językowe), tradycyjne seminaria wyjazdowe, wymiana zagraniczna studentów (Austria, Francja, Finlandia, Węgry, NRD, ZSRR), uczestnictwo w rozdziale świadczeń i.t.d. i.t.d. To tylko przykłady z działalności tzw. aktywu, które służą nie tylko organizacji, ale przede wszystkim całemu środowisku.

Tydzień obchodów XV-lecia ZMS w naszej Uczelni przypadnie na dzień 24.IV. do 29.IV.72 r. Chcielibyśmy, aby w tych obchodach wzięło udział jak najwięcej studentów naszej Uczelni, aby były one okazją nie tylko do wspomnień i podsumowań, ale też dyskusji i wniosków, które będą otwierały nowy etap życia tej organizacji.

I na zakończenie — czego należałoby sobie życzyć na następne 15 lat? Chyba przede wszystkim tego, by ZMS będąc od 15 lat ambasadorem idei i zadań partii i rządu w środowisku młodzieży, stawał się coraz bardziej ambasadorem interesów młodzieży w kierownictwie naszego kraju. Pamiętajmy, że wciąż jesteśmy krajem ludzi młodych.

TOMASZ WIELICKI

NASI NAJLEPSI

ZBIGNIEW SOJA, stażysta Instytutu Cybernetyki Technicznej, należał do studentów, którzy chyba najbardziej zasłużyli sobie na miano najlepszych. Sukcesy odnosił nie tylko na polu naukowym, zdobywając czterokrotnie nagrodę J.M. Rektora, ale również w działalności społecznej.

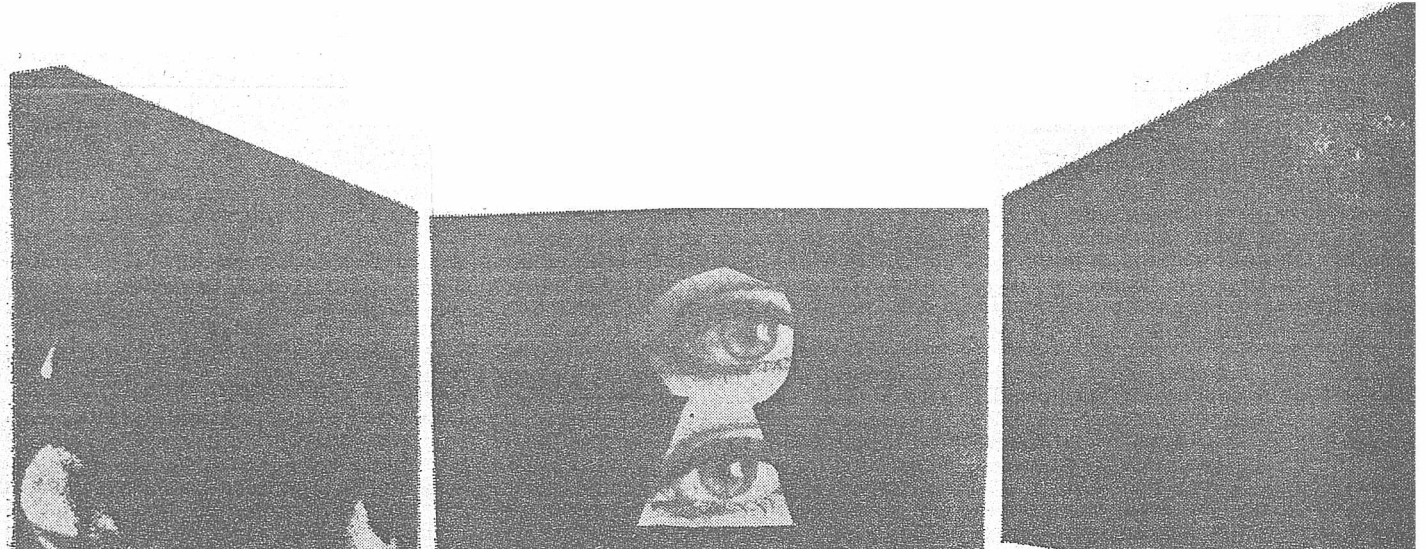
Członkiem ZMS został w 1965 r. i cały czas aktywnie uczestniczył w realizacji programu tej organizacji.

Uznanie jakie zyskał w oczach kolegów przyczyniło się do wyboru go na v-ce przewodniczącego d.s. nauki w ZMS. Wielokrotnie też otrzymywał wyróżnienia za swoją pracę społeczną, która nie ograniczała się bynajmniej

do organizacji ZMS. Zbyszek jeszcze w okresie studiów był starostą roku, przewodniczącym grupy oraz członkiem plenum RW ZSP.

Na zakończenie cyklu szkoleniowego w Studium Wojskowym otrzymał Nagrodę Ministra Obrony Narodowej, przyznawaną corocznie najlepszemu absolwentowi studium. Jego zdaniem źródłem sukcesów jest przede wszystkim praca i umiejętne zorganizowanie sobie czasu.

Zapewne ciągle wewnętrzna mobilizacja i wykorzystanie każdej minuty pozwala Zbyszkowi na interesowanie się kinem, teatrem, muzyką, piśmami technicznymi i radiotechniką, która stanowi jeszcze jedną jego pasję.



HISTORIA NIEJEDNEJ STANCJI

Budynek był stary i ostatni raz malowany chyba tuż po wojnie. Odrapane ściany klatki schodowej, brudne trzeszczące schody i ten wieczny zapach stęchły i starego strychu. Drzwi otworzyła nam niska, stara kobieta w wytartym, brudnym szlafroku i ze straszliwym zezem.

— „My tu właśnie w sprawie tego, no ... mieszkania, bo właśnie jesteśmy studentami i ...” i.t.d.

Byliśmy trochę zmieszani. W rozmowach i targach o mieszkanie, nasze doświadczenie i tupet były raczej żadne. Rozpoczęliśmy więc kolejny rozdział naszego studenckiego życia w dość obszernym pokoju o męcząco żółtych ścianach. Odrapane, przedpotopowe meble nie dodawały mu uroku, ale w sumie za 300 zł nie było tak źle. Gospodarz poinformował nas, że trochę pechowo trafiliśmy, bo tu akurat jest wszystko przed remontem. Nie znaliśmy się wtedy na tych chwytach — uwierzyliśmy.

Pierwszy miesiąc upłynął w zupełnie złej atmosferze. Gospodarz — pan O. — zadeklarował się nawet kupować nam przy okazji swoich porannych zakupów, mleko i bułki. Po pewnym jednak czasie zauważyliśmy, że pani O. odczuwa wyraźną przyjemność we wchodzeniu do naszego pokoju bez pukania i to w najmniej odpowiednich momentach. Po kilkakrotnym, bezskutecznym zwracaniu uwagi — atmosfera zaczęła powoli stygnąć. Zupełnie nie zwróciliśmy uwagi na fakt, że pani O. (ze względu na podeszły wiek nazywaliśmy ją między sobą „babką”) — zaczęła się od pewnego czasu zwracać do nas per ty. Od momentu jednak kiedy wyraziła ona nietajoną chęć kontrolowania naszych finansów i całego życia prywatnego — sytuacja stała się mocno irytująca. Tak doszło do pierwszej, dość ostrej wymiany zdań między nami a gospodarzami. Reakcja pana O. była błyskawiczna. Już następnego

dnia stwierdzili, że właściwie nie ma już czasu na robienie nam porannych zakupów.

Mniej więcej w tydzień później przeżyliśmy duży szok. W dniu, w którym pan O. wyjechał w delegację — wracaliśmy z wykładów w południe. Otworzyła nam drzwi ... i ujrzelśmy w mieszkaniu państwa O. klasyczny happening, w wykonaniu gospodyni i jej „koleżanek” spod Dworca Głównego. Zupełnie pijanych pięć starych bab, będących klasycznymi przedstawicielkami rodzimego wrocławskiego lumpenproletariatu urządziło libację. Rej wodziła i stawiała wódkę pani O. Pijackie śpiewy i nieartykułowane wrzaski trwały jeszcze dobre dwie godziny, po czym widocznie nastrój balu oklapł, bo wszystko ucichło i w uchylonych drzwiach pokoju ukazała się przemalowana twarz jakiegoś starego, pijanego babsztyla, który pokazując w uśmiechu swój ostatni ząb zaproponował ochryplym głosem:

— „Może panowie studenty na kieliszeczek ... co?”. Cholera mnie wzięła, nie wytrzymałem i rzuciłem butem w drzwi. Madam z towarzysztwa zrobiła unik i w oszklonych drzwiach pękła szyba.

Kiedy wróciliśmy wieczorem z kina — mieszkanie przedstawiało opłakany widok. W przedpokoju porozrzucane jakieś stare łachy, w sypialni państwa O. na podłodze leżała kompletnie pijana babka, w jej rozbabranym łóżku spał jej ulubieniec — duży, wiecznie uśmiechnięty buldog, a na podłodze porozrzucane były banknoty stużłotowe. Położyliśmy ją na łóżku, Lucjan pozbierał banknoty i wrzucił je do szafki nocnej.

Następnego dnia rano babka (jak zwykle bez pukania) weszła i ostentacyjnie stanęła na środku pokoju, po czym po niewielkiej minutowej pauzie wypaliła:

— „Oddajcie mi moje pieniądze!”
— „Proszę?” — spytałem zupełnie osłupiały.

— „Oddajcie mi moje pieniądze, które mi wczoraj wzięliście!” W tym miejscu krew mnie zalała. Otworzyłem jej tylko z impetem drzwi. Zrozumiała i wyszła, ale zza drzwi dobiegało nas jeszcze gromkie: „Złodzieje!” Okazało się później, iż w ogóle nie znała kobiet, które ściągnęła na libację do domu prosto z ulicy i które nie omieszkaly skorzystać z okazji i ukraść jej 500 zł.

Później nie raz jeszcze dane nam było podziwiać występy pani O., która (o zgrozo!) — jeszcze tydzień temu chciała próbować na nas swoich talentów pedagogicznych.

Sytuacja w mieszkaniu państwa O. stała się z czasem coraz bardziej napięta. Pomijając fakt, że gospodarz w ogóle nie reagował na nasze „dzień dobry”, a gospodyni przeglądała naszą korespondencję w sposób tak prymitywny, że trudno było tego nie zauważyć — to jeszcze pan O. doszedł do wniosku, że właściwie mógłby na nas trochę zaoszczędzić. Był to okres przedsesyjny, więc uczyliśmy się często i robiliśmy projekty do godzin późnonocnych. Gospodarz oświadczył więc pewnego dnia, iż zabrania nam świecić światło po godz. 24.00. Nie przyjęliśmy tego do wiadomości. Na drugi dzień z pokoju znikła lampka biurkowa, przy której robiliśmy rysunki do projektów. Tu trafił w dziesiątkę. Szczególnie dla mnie robienie rysunków przy słabym, żółtym świetle lampy pokojowej stało się istną mordegą. Po 15-tu minutach kreślenia nic już nie widziałem, linie zlewały się w bezkształtną masę. Na wykłady chodziłem z mocno zaczerwienionymi oczyma. Trzeba było zaciśnąć zęby. Sesja — nie ma, czasu na szukanie mieszkania.

W międzyczasie od jednego z kolegów na roku dowiedzieliśmy się, że na Radzie Pedagogicznej Wydziału mówiono o nas, iż mieszkamy z Lucjanem w luksusowych warunkach i to za niemałe pieniądze w komfortowym, dwu-

osobowym pokoju. Zupełnie nie wiedzieliśmy co jest grane! Okazało się w końcu, że pewien Pan Magister z naszego Instytutu, gorliwy opiekun studentów zainteresował się szczerze warunkami bytowymi studentów mieszkających na stacjach i postanowił zasięgnąć na ten temat, informacji.

I rzeczywiście zasięgnął ... tyle, że nie od nas, gdyż byliśmy wtedy nieobecni, ale od gospodarzy. Uznał te informacje na tyle za autorytatywne i rzetelne, że przedstawił je na Radzie Wydziału. I w ten sposób dowiedzieliśmy się na Wydziale, iż mieszkamy w wistnym „Monopolu” ..., bo przecież nie było w tych opiniach ani słowa o zatrutej atmosferze, która od miesięcy szarpała nam nerwy, o od roku nieczynnej łazience, o gaszeniu światła i utrudnianiu nauki, o pijackich libacjach pani O., o posądzeniach o kradzież, itp.

Epilog całej historii rozegrał się niebawem. Nadszedł czas oddania projektu z mechaniki. W sobotę był ostateczny termin. Trzeba było pomóc dwóm koleżankom z roku, które były z tego zupełnie zielone. Uprzedziłem więc pana O., że prawdopodobnie będziemy siedzieli we czworo nad projektami do późna w nocy. Zaczęliśmy o ósmej wieczór. Robiliśmy swoje projekty jednocześnie pomagając dziewczynom i tak przez całą noc. Rano poszliśmy z Lucjanem oddać projekty. Dziewczyny jeszcze nie skończyły. W niedzielę po południu mieliśmy jeszcze kaca naukowego, a dziewczęta przyszły ustalić jakieś poprawki. I wtedy bomba pękła. Z hukiem wpadł do pokoju pan O. wrzeszcząc:

— „Dość tego burdelu! Wynosić się!”

Zza drzwi wychyliła głowę gospodyni dorzucając:

— „Niech te dziwki w tej chwili wynoszą się z mojego mieszkania!”

Tu pan O. wygłosił tyradę na temat wielkiej rozpusty jaka się dzieje w jego porządnym domu, gdzie kobiety spędzają noc w pokoju mężczyzn. Przestraszone dziewczyny chciały wyjść. Nie pozwoliliśmy im. Chociaż krew uderzyła mi do głowy starałem się jednak spokojnie mu wytłumaczyć charakter wizyty dziewcząt w naszym mieszkaniu. Niestety... pan O. nie zrozumiał. Na drugi dzień wymówił mi mieszkanie, jako że poważnie zhańbiłem „wysokie morale” jego domu. Wymówił tylko mi, gdyż uznał mnie za „prowodyrę”, a utrata więcej niż 300 zł byłaby dla niego poważnym uszczerbkiem. Było to na 4 dni przed rozpoczęciem sesji.

Sesję przewaletowałem w akademiku, śpiąc na podłodze w 6-osobowym pokoju swoich kolegów z roku. I chociaż było cholernie niewygodnie i warunki do nauki żadne, jednak czułem jakieś wielkie odprężenie po tamtych historiach. Zdałem wszystkie egzaminy i w sumie wszystko się dobrze skończyło. Mógłbym więc odłożyć tę

całą historię ad acta i traktować jako jedną z przygód swoich studenckich lat. Mógłbym ... gdyby nie kilka szczegółów i pytań. Bo przecież była to moja trzecia nieudana stacja — mógłbym się posadzić o trudny charakter, ale była to również trzecia nieudana stacja Lucjana, w tym samym czasie gros moich kolegów i znajomych mieszkających na stacjach przeżyło takie (i dużo gorsze)! historie. A przyczyny? Czy chodzi tu o naturalną, dialektyczną wręcz sprzeczność interesów (w sensie ekonomicznym) gospodarza i sublokatora? Czy może o tzw. konflikt pokoleń? Jak jest realna droga do po-

prawy tej sytuacji? Czy nie tu jest miejsce do działania dla opiekunów studenckich w Instytutach? (o ile nie będzie się ta „opieka” odbywała na wyżej opisanych zasadach). A sytuacja jest zła! I niestety coraz gorsza dla studentów, którzy w imię własnych ambicji i chęci studiowania muszą nagiąć się do często anormalnych warunków. A z własnych doświadczeń wiem, że nauka przychodzi z ogromnym trudem, kiedy mieszkanie, które ma zastąpić rodzinny dom — zamienia się w piekło nieporozumień.

NEMO

(nazwisko i adres znane redakcji)

Fot. A. Milli



POLITECHNIKA WROCŁAWSKA
ARCHIWUM UCZELNI

Sygn. 90.15-7(37)

A-130



MARZENIA FIZYCZNE

Obecny szybki rozwój różnych działów techniki oparty jest na twórczym wykorzystaniu najnowszych odkryć z dziedziny fizyki. Stąd m.in. wynika bezwzględna konieczność szerszego niż dotychczas uwzględniania fizyki w kształceniu inżynierów.

Ponieważ student musi zdobyć nie tylko wiadomości, ale także i umiejętności, w kształceniu inżynierów szczególnie ważną rolę odgrywają zajęcia laboratoryjne. Z pytaniem — jaka jest rola pracowni fizycznej w kształceniu inżyniera — zwróciliśmy się do pracownika Instytutu Fizyki Technicznej — dr Ludmiły Lewowskiej.

W Politechnice Wrocławskiej (w Instytucie Fizyki Technicznej) istnieją obecnie następujące pracownie studenckie z zakresu fizyki:

I pracownia fizyczna, której jest pierwszym laboratorium z jakim stykają się w Politechnice studenci lat pierwszych lub drugich wszystkich Wydziałów z wyjątkiem Wydziału Architektury;

II pracownia fizyczna, w której wykonują ćwiczenia studenci lat starszych (przeważnie III-go roku) niektórych Wydziałów Politechniki. Prowadzone są także pracownie specjalistyczne na Wydziale PPT.

Najbardziej masową jest pierwsza pracownia fizyczna. Należy dążyć do tego, by umożliwić odrabianie ćwiczeń w II-giej pracowni fizycznej studentom wszystkich wydziałów Politechniki. Dlatego niektóre problemy I i II-ej pracowni będą tu omawiane łącznie. Zadaniem tych pracowni jest:

— pomóc studentom w zrozumieniu zjawisk fizycznych i praw fizycznych, z którymi zapoznają się w ramach wykładu z fizyki ogólnej i przyczynić się do utrwalenia wiadomości zdobytych na wykładzie a także do rozszerzenia tematyki, w szczególności na zakres zastosowań technicznych poznanych zjawisk, na drodze samodzielnego studiowania łatwo dostępnej literatury;

— zapoznać studentów z najważniejszymi metodami pomiarowymi stosowanymi obecnie w fizyce i technice. Zapoznać z budową i zasadą działania prostych urządzeń;

— nauczyć techniki pomiarów typowych, nowoczesnymi przyrządami, z jakimi zetkną się w dalszych studiach lub w przyszłej pracy inżyniera. Oczywiście należy wyłączyć tutaj te metody i techniki pomiarowe, których nauka jest przedmiotem innych laboratoriów, prowadzonych specjalnie dla studentów określonego kierunku studiów;

— nauczyć studentów opracowywania wyników, a więc wykonywania wykresów i posługiwanie się nimi, posługiwanie się tabelami, normogramami itp;

— nauczyć krytycznej oceny dokładności uzyskanych wyników.

Realizacja tych zadań uzależniona jest od wielu czynników, często obiektywnych.

Uzależniona jest od takich czynników, jak: dobór tematów ćwiczeń; sprzęt, jakim dysponuje pracownia;

ilość wykonywanych przez studenta ćwiczeń; przygotowanie studenta i stopień samodzielności przy wykonywaniu wyników; sposób prowadzenia ćwiczeń przez asystenta i stawianych przez niego wymagań.

Tematy ćwiczeń muszą być tak dobrane, by dawały studentowi okazję zetknięcia się z dużą różnorodnością zagadnień, przyrządów i metod opracowywania wyników. Różnorodność tematów umożliwia dokonywanie wyboru przy ich rozdzielaniu w zależności od działu, zainteresowań związanych z kierunkiem studiów itp., a także sprzyja wyrobieniu samodzielności studentów. Tematy muszą być na tyle proste, by student zdążył wykonać ćwiczenie w ciągu 3 godzin w I-ej i w ciągu 4-ch godzin w II-ej pracowni. Jednocześnie nie mogą one być za proste, gdyż prowadzi to do zniechęcenia i lekceważenia zajęć, zwłaszcza przez studentów zdolniejszych i lepiej przygotowanych. Pogodzenie tych ostatnich postulatów natrafia na szczególne trudności w I-ej pracowni, z powodu dużych różnic w przygotowaniu wyniesionym ze szkoły średniej przez poszczególnych studentów.

Właśnie, niejednakowy, często żenująco słaby stopień opanowania podstawowej wiedzy na poziomie średnim jest istotnym hamulcem szybkich postępów w studiach. Jak można by temu zapobiec?

Aby umożliwić jednakowy start wszystkim studentom bez konieczności obniżania poziomu nauczania, należałoby zorganizować pracownię wstępną. Przeznaczona byłaby ona dla tych studentów, którzy nie mieli okazji zetknięcia się z laboratorium fizycznym w szkole średniej. Zakres materiału obejmowałby kilka ćwiczeń (od 4 do 6) z programu szkoły średniej, wybranych tak, by student mógł zapoznać się ze wszystkimi najprostszymi przyrządami, którymi powinien umieć się sprawnie posługiwać już w pracowni I-ej. Wykonywanie ćwiczeń w tej pracowni odbywałoby się na prawach dobrowolności na podstawie wcześniejszego zapisu (na początku semestru) i nie obowiązywałoby zaliczenie.

Możliwość wykonywania ćwiczeń w tej pracowni należałoby stworzyć studentom w semestrze poprzedzającym ćwiczenia obowiązkowe. Ponieważ w pracowni I-ej wykonują ćwiczenia studenci semestru drugiego, trzeciego lub czwartego, jest to zupełnie możliwe.

W związku ze zmianą programów nauczania w szkołach średnich zaistniała konieczność wycofania z I-ej pracowni niektórych zestawów ćwiczeń i zastąpienia ich innymi, dostosowanymi do programu fizyki obowiązującego w Politechnice. Zestawy te można byłoby wykorzystać dla zorganizowania pracowni wstępnej. Zorganizowanie takiej pracowni byłoby możliwe po otrzymaniu odpowiedniego pomieszczenia (jedna lub dwie sale).

Sprzęt jakim powinna dysponować pracownia studencka musi być nowoczesny — taki sam, jaki jest stosowany w laboratoriach fabrycznych i naukowych, przy sterowaniu i kontroli produkcji i wielu innych dziedzinach

techniki i gospodarki. Niestety, na ogół sprzęt ten jest drogi i niekiedy trudno go zakupić. Czynione są jednakże starania by fundusze na ten cel zwiększyć, a sprzęt trudno dostępny w sprzedaży zastąpić podobnym, którego produkcją zajmą się Zakład Aparatury Naukowej Politechniki Wrocławskiej.

Istotną sprawą jest ilość wykonywanych przez studentów ćwiczeń. Nieporozumieniem jest postulat, by zrealizować stawiane przed pracownią fizyczną zadania w trakcie np. 8 ćwiczeń! Na podstawie dyskusji i doświadczeń zarówno krajowych jak i zagranicznych można przyjąć, że optymalną liczbą ćwiczeń jest 12 wykonanych w I-ej pracowni i (dodatkowo dla studiów magisterskich) 12 wykonanych w II-ej pracowni.

Sporo jeszcze pozostawia do życzenia efekt przygotowania się studenta do wykonania ćwiczeń. Składa się na to szereg czynników obiektywnych, leżących poza zasięgiem możliwości Uczelni (choćby zasób wiedzy wyniesiony ze szkoły średniej). Z drugiej strony trzeba liczyć się z realnie możliwym czasem, jaki student może poświęcić przygotowaniu się do ćwiczeń w pracowni i opracowaniu wyników. Dlatego też należy go odciążyć od pracochłonnych, choć niezbędnych czynności, aby wykorzystał ten czas w sposób jak najbardziej sensowny. Student powinien mieć możliwość szybkiego wykonania obliczeń, najlepiej na kalkulatorze elektronicznym, dostępnym w pracowni lub w innych komórkach Szkoły. Nie powinien także tracić czasu na rysowanie tabel i bieganie po sklepach w poszukiwaniu papieru milimetrowego np. z podziałką logarytmiczną, którego akurat nigdzie w danej chwili kupić nie można. Potrzebny papier milimetrowy powinien być dostarczany studentowi w czasie ćwiczeń wraz ze wzorem sprawozdania, zawierającym odpowiednie tabele.

Pozostaje jeszcze jeden problem — prowadzącego ćwiczenia laboratoryjne.

W obecnym systemie organizacji ćwiczeń i aktualnym nasyceniu pomocniczą kadrą techniczną, na prowadzącym ćwiczenia spoczywa wiele obowiązków, mających niewiele wspólnego z istotnymi zadaniami pracowni. W tych warunkach musi ulec osłabieniu najistotniejszy walor obecności asystenta na ćwiczeniach — uczenie studentów posługiwania się przyrządami i dyskutowanie zagadnień związanych z wykonanym ćwiczeniem i uzyskanymi wynikami. Aby sytuację poprawić trzeba by z jednej strony ograniczyć liczbę dwuosobowych grup studenckich do maksymalnie 5-ciu, zaś prowadzącego uwolnić od czasochłonnego sprawdzania stopnia przygotowania do ćwiczeń drogą wprowadzenia np. egzaminów elektronowych bądź poprzez wprowadzenie innych form organizacyjnych.

Pełna Realizacja powyższych postulatów pozwoliłaby na osiągnięcie zasadniczych celów stawianych przed pracownią z fizyki.

opracował:

JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

POLITECHNIKA WROCŁAWSKA

Uzależniona jest od takich czynników, jak: dobór tematów ćwiczeń; sprzęt, jakim dysponuje pracownia;

Sygn. 90.5-7. (37)

Miejsce złożenia

DLACZEGO NIE JESTEM APOLLEM?

Problem sportu masowego w domach studenckich Politechniki Wrocławskiej jest na pewno mniej złożony niż sportu wyczynowego w sekcjach AZS lecz godny większej uwagi ze względów najbardziej oczywistych; mamy największy dostęp do rzeszy zwykłych studentów nie nastawionych ani na wyczyn ani na trening specjalistyczny. Do tych studentów najłatwiej nam jest dotrzeć ze względu na skomasowanie w jednym kompleksie budowlanym, jednakowe problemy i oczywiście pewien sposób skoszarowania a także ze względu na reżim z tym związany.

Jak ważnym dla AZS jest ten problem świadczy sama struktura Zarządu Klubu Uczelnianego, gdzie sportem masowym zajmuje się około 40% członków. Wspomniałem o sporcie masowym. Jakkolwiek sama nazwa jest dyskusyjna my rozumiemy ją jednoznacznie — jak „najbliżej” studentów.

Słowa należy wcielić w czyn a między słowami, wywodami i zwykłą praktyką będą zawsze duże różnice związane z bardzo różnorodnymi czynnikami; po pierwsze uprawiać sport to — czym? po drugie — gdzie? Nie analizując sprawy pod nazwą „Trudności obiektowe”, bo temat już się był postarzał przejdźmy do rzeczywistości i na tej płaszczyźnie rozpatrujemy zagadnienie. Gwoli przypomnienia — D.S-y mają do dyspozycji kilkanaście godzin tygodniowo w salach zastępczych w szkołach podstawowych. Czy to jest wystarczające i czy zapewnia pewien minimalny standard ćwiczącym? Oceniając tą sytuację można by wystawić ocenę dst. Gorzej a właściwie tragicznie przedstawia się sprawa boisk przyobiektowych. Tu sytuacja jest katastrofalna gdyż samą pracą społeczną nic, a właściwie prawie nic nie zdziałamy, potrzebna jest fachowa pomoc.

Model studenta z łopata na ramieniu może się nie tyle zdezelować co podchodzi się do tego inaczej, ze względu na nawał pracy w szkole, dyscyplinę studiów i wiele innych czynników.

Jak temu zaradzić? Odpowiedź nie jest trudna. Potrzeba nam kompleksowych rozwiązań opartych na opracowaniach studyjnych. Należałoby także w pewnym zakresie zasięgać opinii KU AZS i Studium W.F. na temat nowo wznoszonych obiektów przeznaczonych dla studentów.

Inną sprawą są pomieszczenia sportowe w samych DS-ach, i tu problem jest jeszcze trudniejszy gdyż budynki zostały już zrealizowane a co za tym idzie nie uwzględniono tam sportu. Przy dobrych chęciach daje się takie pomieszczenia wygospodarować lecz zależy to w głównej mierze do kierowników DS-ów a z tym nie zawsze jest dobrze. Apelujemy więc do Pionu Administracyjnego o głębszą analizę postulatów studenckich. Najtrudniejszą sprawą od wielu już lat jest sprzęt sportowy dla DS-ów. W latach poprzednich odnoszono się do tego po macoszemu z różnych względów np. (pilne potrzeby finansowe teatru „Gest”, które w pewnym okresie za-

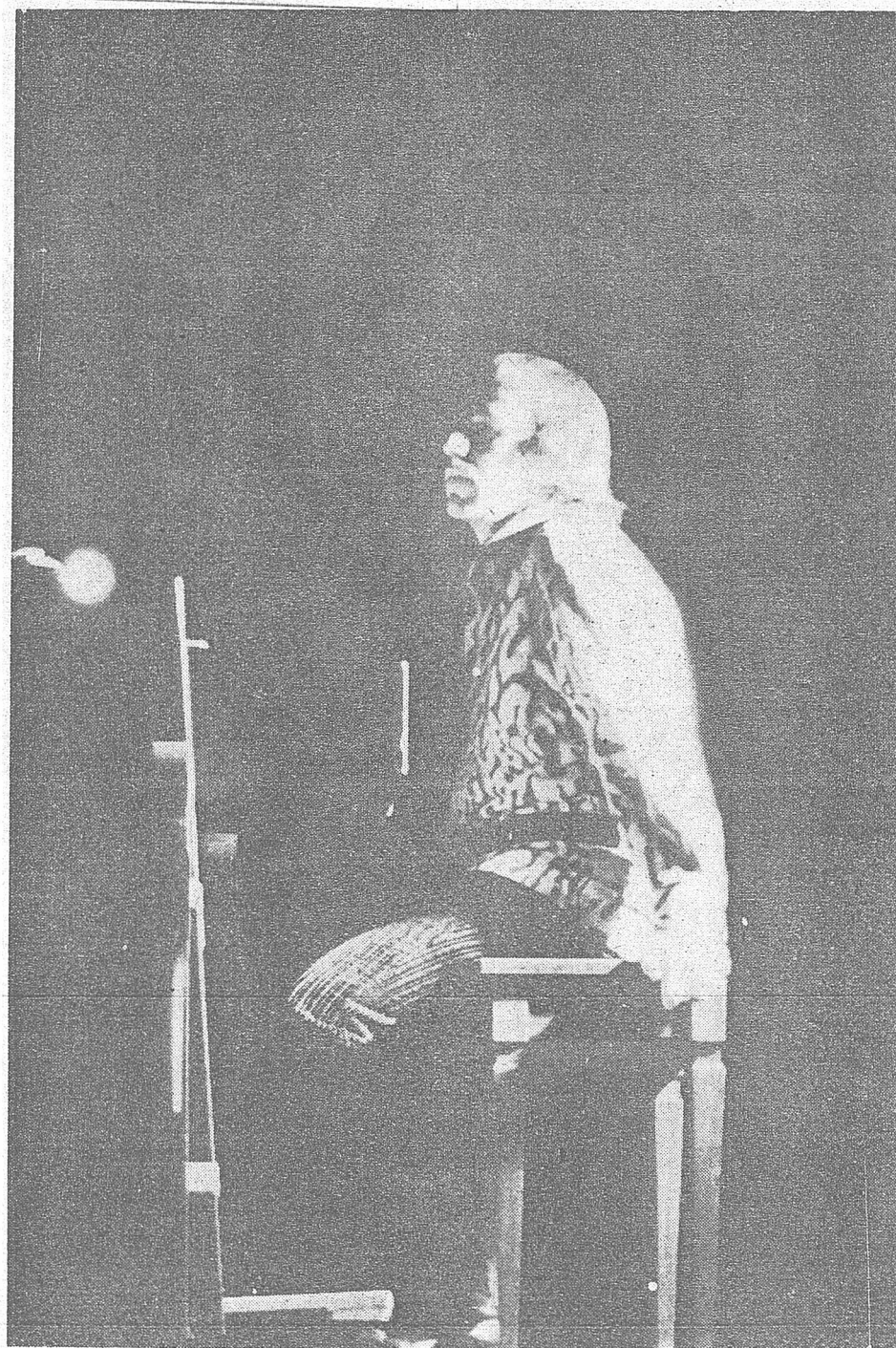
mroziły dostarczanie sprzętu DS-om). Ale czy kosztem zdrowia studentów należy realizować ambicje kulturalne naszej Szkoły? W tym roku także mamy problemy z wydostaniem już przyznanej kwoty na sprzęt sportowy lecz obecnie zamierzenia te zrealizujemy. Uwzględnienie preliminarza sprzętowego zapewni w dużym stopniu normalne funkcjonowanie komórek sporto-

wych. Jak ważny jest problem świadczy krótka analiza statystyczna oparta o dane bieżące z kilku Uczelni w Polsce o zbliżonej liczbie studentów a różnym wyposażeniu sprzętowo-obiektowym. Uczelnie o lepszym wyposażeniu mają około 20% mniej zachorowań w stosunku do Uczelni o gorszym standardzie.

JERZY KARYŚ



Fot. J. Bachrij



W marcu 1964 po raz pierwszy tu we Wrocławiu, nad Odrą, spotkały się studenckie zespoły jazzowe z całego kraju — i tak się zaczęło. Potem przyszły dobre lata festiwalu, dziś już nie sposób wymienić wszystkich naszych wybitnych jazzmanów, o których świat usłyszał po raz pierwszy właśnie po Jazzie nad Odrą. Wiadomo od lat, że kraj nasz cierpi na coraz większy przesył wszelakich festiwali ogólnopolskich, wojewódzkich, powiatowych, gromadzkich i innych, z których co najmniej połowę można by wyrzucić od zaraz, bez szkody dla kogokolwiek (z wyjątkiem tej garstki ludzi, która dany festiwal wymyśliła „bo trzeba z czegoś żyć”). Ale są też festiwale bardzo potrzebne. Do takich właśnie należy „Jazz nad Odrą”. Jest to zresztą jedyny, prawdziwie jazzowy festiwal w kraju. Chciałoby się dodać: amatorski, ale z tym różnie bywa. Prawdę mówiąc, jako widzowi i słuchaczowi jest mi zupełnie obojętne, czy słucham profesjonalistów czy amatorów, chcę po prostu dobrego jazzu. Problem, do jakiego stopnia należy iść na ustępstwa „profesjonalistom” na tym amatorskim festiwalu — słusznie zasygnalizowany na ostatniej konferencji prasowej przez red. J. Radlińskiego — jednak istnieje i trzeba sobie z tego zdawać sprawę. Nie ulega wątpliwości, że JnO stanowi dla najlepszych amatorów szansę dostrzeżenia i docenienia ich. Jest miejscem spotkania dla tych, którzy jazz po prostu kochają, namiętnie i bezinteresownie. Fakt istnienia w Polsce imprezy, która w przeciwieństwie do np. Opola czy Sopotu, nie jest tworem sztucznym lecz żywiołowym i autentycznym, napawa radością. To dobrze, że nie wszyscy poprzestają na „Orkiestrach dętych” czy „Domu, który mam”, że te malownicze, kolorowe i długowłose tłumy siedzące na podłodze w sali koncertowej i słuchające w skupieniu na pewno nie przybyły do świątyni prawdziwej muzyki ze snobizmu.

Ale czas już przejść do tegorocznego IX JnO. Festiwal trwał w dniach 9—12 marca. W ciągu tych czterech dni odbyły się 4 koncerty konkursowe w dużym studio Polskiego Radia oraz cały szereg imprez towarzyszących, w tym konkurs na wykonanie kompozycji Louisa Armstronga, konkurs na pracę plastyczną o tematyce jazzowej, koncerty w klubach studenckich, conocone jam sessions w Pałacyku oraz impreza ciesząca się ze zrozumiałych względów największą popularnością — gigantyczny koncert w Hali Ludowej — „Jazz Story czyli historia miłości do jazzu, ale się dobrze kończy i popłakać się można”. Było to widowisko imponujące swoim rozmachem, scenografią no i, oczywiście, poziomem wykonawców. W ciągu siedmiu i pół godziny usłyszeliśmy prawie całą czołówkę polskiego jazzu, od Old Timersów, Samych Swoich i Hagawu aż po Kwintet Namysłowski, Krzysztofa Sadowskiego z Nahornym (rewelacyjny utwór „Na Kosmodromie”!), Kwintet T. Stańki i Formację Muzyki Współczesnej A. Kurylewicz z Wandą Warszawską (występ pierwszej damy polskiego jazzu nieśtety bardzo nas rozczarował). Słuchaliśmy (nie najlepszych) recytacji poezji inspirowanej jazzem, były nawet filmy z Chaplinem, wyświetlane w malutkim formacie na ogromnym ekranie, ale za to w potrójnym wydaniu. Ekran był jednym z głównych elementów dekoracyjnych Hali — wspa-

niała gra światła! Autorami imprezy byli Andrzej Jaroszewski i Stanisław Lose. Szkoda tylko, że Hala Ludowa nadaje się bardziej na wiece i masówki, niż do słuchania jakiegokolwiek muzyki, a zwłaszcza tak kameralnej jak jazz, no ale trudno, skoro trzeba było wyjść „masom naprzeciw...”

Cofnijmy się jednak z Hali Ludowej dwa dni wstecz do Polskiego Radia (tu, oczywiście, sala i nagłośnienie — prawdopodobnie dzięki wspaniałym i ustawicznie przez Krzysia Maternę reklamowanym mikrofonom firmy AKG — były doskonałe).

W ciągu dwóch wieczorów usłyszeliśmy koło trzydziestki zespołów, big bandów, solistów. Jak zwykle, wrażenia po każdym z koncertów były raczej mieszane. Poziom był tak zróżnicowany, że trudno było ustrzec się wysłuchania kilku żenująco słabych grup. A można było temu zapobiec przeprowadzając staranniejszą selekcję, nawet kosztem zmniejszenia ilości uczestników. Nie musielibyśmy słuchać tak słabych występów jak produkcje zespołów „Bracia polscy”, „ONP”, z Chrzanowa czy „Starzy”. Przejdźmy jednak do tych najlepszych.

Właściwie już po czterech koncertach konkursowych wszyscy słuchacze mieli jakieś swoje zdanie na temat kto jest lepszy, a kto gorszy, ale jak wiadomo, bywa, że jurorzy mają własne, całkiem od zdania ogółu odmienne. Na werdykt trzeba było poczekać. Swoją drogą, ciekaw jestem, jak wyglądały obrady jury? Chyba polegały głównie na wymianie zdań i wzajemnym opowiadaniu sobie koncertów, bo nie zdarzyło się, żeby na sali obecny był komplet jurorów. Spis członków jury, podawany raz po raz za pośrednictwem doskonałego Informatora do wiadomości publicznej często ulegał zmianom, ale tak naprawdę kto tam jest, a kogo nie ma dowiedzieliśmy się już po fakcie, po ogłoszeniu wyniku. Czyżby nazwiska jurorów celowo utrzymywano w tajemnicy w obawie przed np. uprowadzeniem?

W niedzielę — 12 marca, na galowym koncercie laureatów (nawet Julian Kurzawa zdjął nieodłączną kurtkę wojskową, a założył marynarkę!), w specjalnie na ten cel udekorowanej sali Filharmonii Wrocławskiej, przewodniczący jury Lucjan Kaszycki odczytał werdykt. Zespoły były oceniane w kilku kategoriach. W kategorii jazzu tradycyjnego pierwszą nagrodę RO ZSP otrzymali nasi dobrzy znajomi — wrocławscy „Sami Swoi”, zespół niewątpliwie doskonały technicznie, weteran JnO, prowadzony przez wyżej wspomnianego doskonałego muzyka i kompozytora J. Kurzawę. Drugiej nagrody nie przyznano (?), a trzecią zdobyła „Grupa bluesowa Warszawa” (dawniej „Stodoła”, wykonawcy słynnych „Bluselek”) z doskonałą wokalistką Barbarą Erie (wykonawczynią m. in. ciekawego bluesa „Nothing But the Blood of Jezus”). Występ „Warszawy” miałem przyjemność oglądać kilka razy. Jest to rzeczywiście zespół bardzo dobry, kto wie czy nie najlepszy w swojej kategorii. Cóż, niektórzy mieli zastrzeżenia, że profesjonalści... W kategorii modern jazzu pierwszą nagrodę zdobył warszawski zespół „Jazz Carriers” (z niebawem dynamicznym perkutystą Zbigniewem Kitlińskim). Drugie miejsce zajęły zespoły: „Laboratorium” (na szczególną uwagę zasługuje wokalista grupy Marek Stryszowski, dysponujący niezwykle szeroką skalą głosu i mający przy tym doskonałe



wycucie jazzu), — zespół, moim zdaniem najlepszy w kategorii nowoczesnych, oraz zespół „Refleks” z Gorzowa Wlkp. (tu przyznanie drugiej nagrody wydaje się być co najmniej dyskusyjnym...). Zupełnym zaskoczeniem było dla mnie przyznanie trzeciej nagro-

dy szczecińskim „Stowarsom”, grającym i to nie najlepiej, muzykę bardziej zbliżoną do beatu niż do jazzu. Nie doceniono, mam wrażenie takich zespołów jak trio Andrzeja Bacza czy „Konsolidacja”. Bezsprzeczne jest przyznanie pierwszej nagrody w kategorii woka-

listyki. Ewie Sadowskiej (akompaniowało jej trio Ochalski-Trzcinski-Kozłowski, a więc „all stars”), która zaprezentowała m. in. doskonałe wersje piosenek Lennona i Mc Cartney'a „Ele-anor Rigby” i „Hers, There and Eve-rythere”. Za najlepszego instrumentalistę uzano Krzysztofa Zgraję (flet), członka duetu Gładkowski — Zgraja. Tu mała dygresja: jak zwykle, pech nie omijał wykonawców, w tym również wyżej wspomnianego duetu. Zgraja zmuszony był zagrać solo na flecie, gdyż Cz. Gładkowskiemu „wysiadło” coś w przystawce elektrycznej do kontrabas. I zagrał fantastycznie. Nagrodę za najlepszą kompozycję otrzymali Rafał Augustyn i Julian Kurzawa (tak, ten) za „Rozmowę” wykonywaną przez big band „Kupa” WKJ (Wrocławskiego Klubu Jazzowego).

Skoro już wymieniam wszelkie przyznawane nagrody, nie sposób nie wspomnieć o przyznawanej codziennie nagrodzie fotografa M. A. Karewicza — „Złotym cycu” (koszulka z nadrukowanym zdjęciem), którą otrzymali kolejno: Jan Mazur (red. naczelny Informatora), Wojciech Siwek (kier. artyst. JnO), Krzysztof Materna (prowadzący koncerty w PR), oraz p. Teresa Poprawowa (żona red. Jana Poprawy). Prywatną nagrodę specjalną redaktorów Miesięcznika Literackiego „Donos” wysokości ... ok. 30 cm otrzymali Ewa Bem raz Marek Karewicz — za całokształt postawy festiwalowej.

Tak więc w atmosferze ogólnego zadowolenia i wzajemnej adoracji, a także pałacowych oparów jamowo-papierosowo-alkoholowych zakończył się IX JnO, impreza jedyna w swoim

rodzaju, wybitnie studencka, choć większość uczestników ze studiami niewiele już ma wspólnego, zorganizowana przez Biuro Organizacyjne przy ogromnym wysiłku całej rzeszy ludzi (i w cudownym bałaganie organizacyjnym, który już stał się tradycją, ale w którym jest metoda). Trudno zaraz po zakończeniu imprezy o jej ocenę, a tym bardziej o porównanie z latami ubiegłymi. Na pewno nie był to festiwal gorszy od innych, mieliśmy dużo dobrej muzyki, Wrocław żył imprezą, możemy cieszyć się, że jazz studencki, mimo iż już dawno przeszedł z piwnic do sal koncertowych, pozostał nadal świeży, żywy, szczerzy. Oby był takim jak najdłużej!

WOJCIECH KOZAK
zdjęcia: MAREK SPUDYM

REKREACJA I SPORT

„W ZDROWYM CIELE.”

Przystępując do analizy problemu sportu, kultury fizycznej, rekreacji i wypoczynku w Politechnice Wrocławskiej nie czujemy się kompetentni do rozważań nad tą częścią zagadnienia, która obejmuje pracowników Uczelni. Natomiast sprawa rekreacji i wypoczynku wśród studentów interesuje nas niezmiennie i wielce jesteśmy radzi, że dyskusja nad nią zatacza coraz szersze kręgi.

Możliwości wypoczynku, a więc i rekreacji studentów w czasie programowych przerw w procesie dydaktycznym są tak różnorodne i rozległe, że uważać należy, iż niezbyt wiele nowego można jeszcze w tej dziedzinie zrobić. Istniejące dotychczas klasyczne formy osiągnęły wystarczający poziom doskonałości merytorycznej i dyskusja nad tą sprawą powinna rozwijać się nad jeszcze większym niż do tej pory ich upowszechnieniem. Mamy tu na myśli przede wszystkim wszelkiego rodzaju obozy specjalistyczne i wypoczynkowe, stałe i wędrownie, wczasy, wycieczki krajowe, do krajów demokracji ludowej itp. Niemniej jednak, z zupełnie zrozumiałych powodów, formy te nie są w stanie zaspokoić potrzeb całego środowiska i obecnie korzysta z nich przede wszystkim szeroki aktyw organizacji młodzieżowych dźwigających główny ciężar organizacji tych imprez. W istniejących warunkach jest to, naszym zdaniem, sytuacja prawidłowa — dążyć należy jednak do tego, aby jak najwięcej młodzieży studenckiej korzystało z tych form zorganizowanego wypoczynku. Wiąże się to oczywiście ze znacznie zwiększonymi nakładami na organizację tego typu imprez, ale wbrew pozorom (przyzwyczajeniom) sytuacja nie jest całkiem beznadziejna (przypomnieć wystarczy, że od dłuższego już czasu waży się na centralnych szczeblach władz projekt wdrożenia w życie tzw. Socjalnego Funduszu Młodzieży). Również zmiana niektórych przepisów dotyczących zasad gospodarki finansowej organizacji młodzieżowych znacznie pomogłaby w realizacji tych przedsięwzięć. Pozwoliłoby to nie tylko uatrakcyjnić już istniejące formy, lecz również upowszechnić już istniejące — jak dotychczas doskonale elitarnie (np.

długoterminowe wyjazdy do krajów Europy Zachodniej). Bardzo duży wkład do tej sprawy ma szansa wnieść Uczelnia z racji swych rozległych kontaktów zagranicznych.

Odmienne nieco przedstawia się problem możliwości rekreacji i wypoczynku studentów w trakcie trwania procesu dydaktycznego. Możliwości te podzielić trzeba na trzy grupy:

- rekreacja programowo ujęta w procesie dydaktycznym;
- formy rekreacji i wypoczynku realizowane przez organizację;
- formy rekreacji i wypoczynku realizowane indywidualnie.

Analizując problem rekreacji ujętej w procesie dydaktycznym nie sposób nie dojść do wniosku, że zarówno — system prowadzenia zajęć z wychowania fizycznego jak i baza materialna w naszej Uczelni nie są doskonałe i nie zaspokajają nie tylko ambicji środowiska w tej dziedzinie, lecz również jego potrzeb.

Rekreacja i wypoczynek organizowany w czasie trwania nauki siłami organizacji młodzieżowych przybiera najróżniejsze formy: od imprez kulturalnych i kulturalno-rozrywkowych po czysto wycieczkowe rajdy turystyczne. Coraz częściej imprezy turystyczne wzbogacane są elementami wychowawczymi, czego przykładem jest coraz szerzej rozwijająca się akcja tzw. seminariów wyjazdowych ZMS. Seminaria te, przeznaczone dla wszystkich członków naszej organizacji, to po prostu wyjazdy sobotnio-niedzielne w atrakcyjne turystyczne tereny, ze ściśle określonym programem kulturalnym, turystycznym i oczywiście szkoleniowym.

Jednocześnie stwierdzić trzeba, że wyraźny regres przeżywają duże rajdy turystyczne (uczelniane i wydzielowe). Dzieje się tak z różnych względów, nie zawsze chwalebnych dla środowiska studenckiego. Problem ten, chociaż jest do przezwyciężenia, nasuwa jednak pewne refleksje. Otóż, czy nie warto było by pokusić się o rozwinięcie akcji małych (kilkuosobowych) grup wędrownych, pieszych lub rowerowych, które po uzyskaniu odpowiedniego dofinansowania realizowałyby te same prawie cele co rajdy-giganty? Naszym zdaniem sprawa jest niezwykle aktual-

na, tym bardziej, że jak fama głosi, już niedługo przejdziemy na pięciodniowy tydzień nauki. Ta propozycja ma jeszcze kilka zalet: jest bowiem idealnym wprost polem do szerzenia w tym zakresie rywalizacji tak zespołowej jak i indywidualnej; może również stać się naprawdę masową.

Indywidualne organizowanie wypoczynku czynnego przez studentów istnieje w dwóch zasadniczych formach: — przez przynależność do innych, nie akademickich, organizacji sportowych (jest to sytuacja smutna, ale w kontekście wyżej napisanego — zupełnie zrozumiała); — przez indywidualne organizowanie „wypadów w teren” — turystyka piesza, narty itp. Formy te, aczkolwiek istnieją, nie są zbyt popularne ze względu na wysokie koszty.

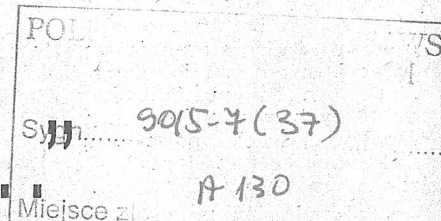
Próbując ocenić sprawę zakresu uprawiania sportu tak rekreacyjnego jak i wypoczynkowego w naszej Uczelni wyszliśmy z dwóch założeń:

- we wszystkich państwach liczących się w światowej czołówce sportowej sport akademicki odgrywa podstawową rolę,
- obiecywana budowa zaplecza sportowego szybko dojdzie do skutku.

Przyjmując taki punkt wyjścia pozwolimy sobie zaproponować następujące rozwiązanie tego problemu:

1. Konieczne powinna zostać zwiększona liczba godzin tygodniowo przeznaczona na obowiązkowe uprawianie sportu.
2. Zajęcia tego typu powinny być prowadzone bez przerwy przez co najmniej 4 lata.
3. Minimum przez 2 lata student uprawiać powinien jedną dyscyplinę w miarę ogólnorozwojową (judo, pływanie, lekka atletyka itp.), a zmiana dyscypliny może nastąpić po tych dwóch latach.
4. Sport wycieczkowy powinien być prowadzony w jak najbardziej różnorodnych formach (od lekkiej atletyki do brydża czy szachów).
5. Należy koniecznie stosować w praktyce zakaz uczestnictwa w innych nie akademickich organizacjach sportowych studentów i pracowników.

Utarło się kiedyś przekonanie, że



student jaki by nie był to zawsze jest bez pieniędzy. Obecnie jednak nie jest już to prawdą. Nie chcemy powiedzieć że student jest już bogaty — ale przecież w przeważającej większości nie ma trwałych kłopotów finansowych. Wiąże się to bezpośrednio również z tematem naszych dywagacji. Stopa życiowa przeciętnego studenta

jest bowiem na tyle wysoka, że może on korzystać z większości form zorganizowanego wypoczynku, lecz o wiele za niska, aby mógł on realizować własne, indywidualne formy. Wypoczynek niezorganizowany dla większej grupy osób jest zawsze tańszy, a przecież funkcjonuje dodatkowo cały wachlarz dotacji ...

Są jednak i takie imprezy — głównie wyjazdy zagraniczne, które mimo dofinansowywania są za drogie na „przeciętną studentkę kieszeń”. W naszych warunkach wyjściem z tej sytuacji jest coraz powszechniejsze organizowanie wyjazdów, podczas których elementy turystyki połączone są z pracą zarobkową.

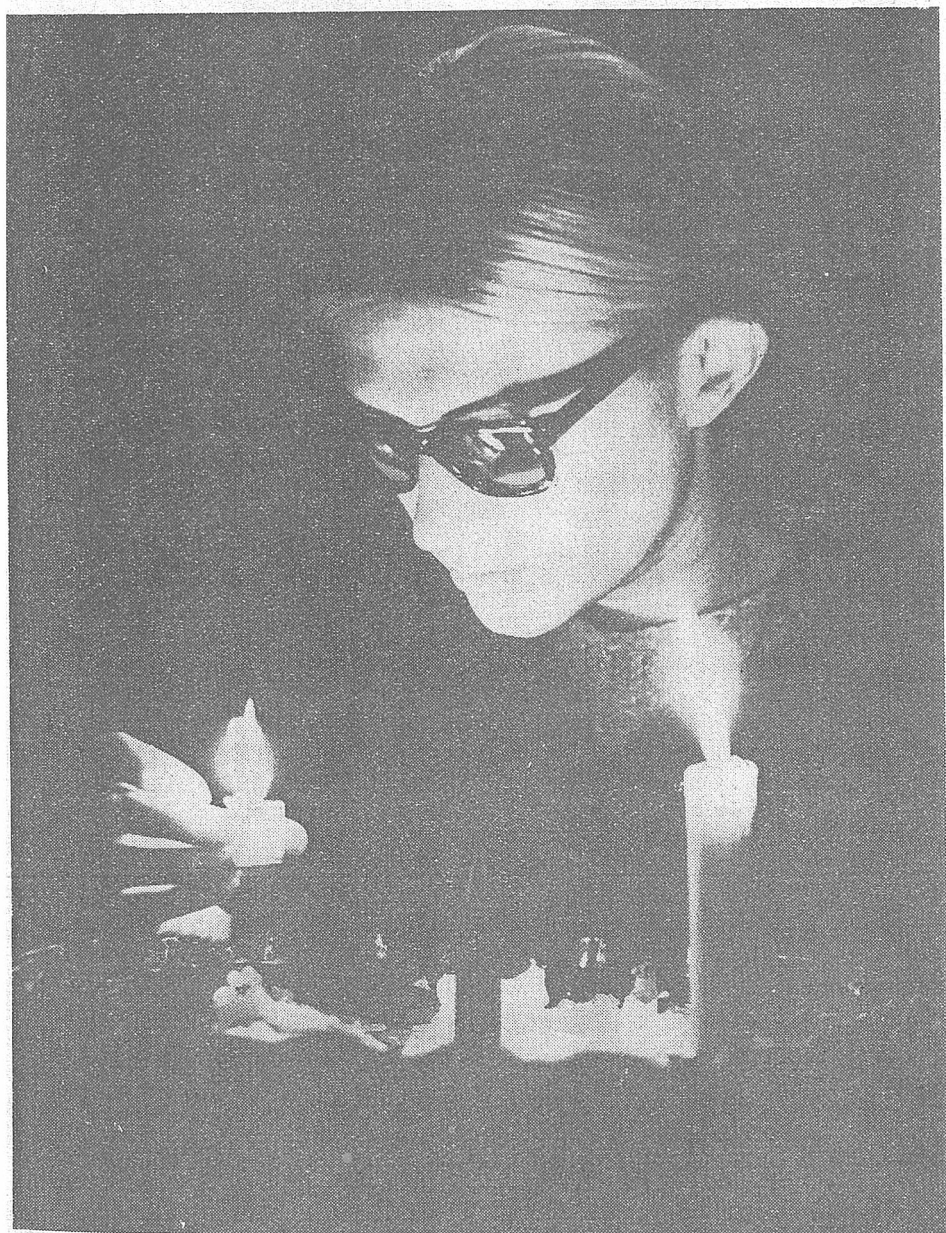
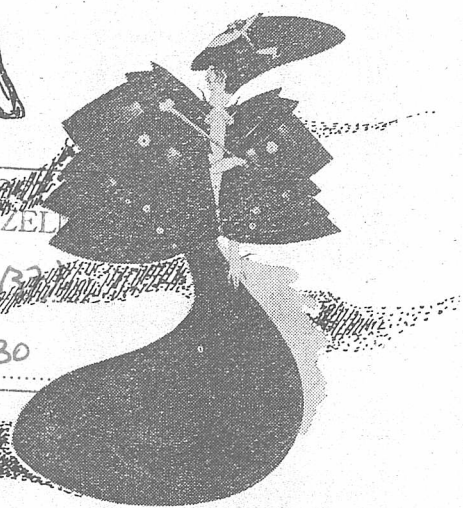
METAFIZYKA

ONA

POLITECHNIKA
ARCHIWUM

Sygnatura 90157 (32)

Miejsce złożenia 1130



Wiele się mówi o NIEJ. Krażą o NIEJ przeróżne mity i legendy, jest tematem wielu namiętnych przetrząsań i poszukiwań, tematem bardzo twórczym. Niewątpliwie jest ONA wielkim problemem, który rośnie i rośnie. Powoli, razem z tymi wielkimi dysputami, przybywało i przybywa mu i brody i rogów, wzmacnia się, bary mu potężnieją. Próbowano go rozwiązać, nakładając mu obrożę, by po serii dysput przemalowywać JĄ na inny kolor. Gdyby kiedyś tytan pracy chciał to przenieść na papier to niewywoźiłby go pociągiem towarowym. A ile wody w tym czasie upłynęło?! I płynie; płynie, płynie ...

Kim ONA jest naprawdę? Jaka ONA jest? Jakiej jest JEJ oblicze?

Jest zbiorem komórek!

Jest wśród nas, spotykamy JĄ codziennie, współżyjemy z NIA i w NIEJ.

Jest, jak kobieta, zmienna, jedna podobna ciut do drugiej, ale już nie ta! Zżyliśmy się z NIA, przyzwyczailiśmy się do NIEJ. I niezależnie od tego jaka ONA jest czujemy, czuliśmy i ani chybi czuć będziemy do NIEJ sentyment.

Jest bardzo czuła jak film DIN 27, wrażliwa jak artystka. Jest lekka jak swobodna myśl, zwinna jak cyrkowiec, płocha jak dzika sarenka i powabna jak piękności Wschodu (kusicielka?). Jest złośliwa jak wściekły pies (który na szczęście nie może gryźć, bo ma założony kaganiec), czujna jak stuoki potwór, bezlitosna jak barbarzyńca, nietolerancyjna jak św. Inkwizycja. Szczególnie czuła jest na klimat — jak ciężko chory reumatyk.

Jest, jest, jest ...

Ze trzeba się NIA zająć, co do tego wszyscy mają pewność. Jak również, że to sprawa niesamowicie trudna.

Co się robi w takich wypadkach? Daje się JEJ jakiegoś starszego. Ten zna się na tym, na tamtym, z niejednego przecież pieca chleb jadał — dużo wie. Kiedyś czuł do NIEJ sentyment. Tak, doświadczenie to ważna rzecz. On da sobie radę. A może by tak dać mu jakąś pomoc, która JĄ bliżej zna?

A może by tak pozwolić mu wybrać z NIEJ najlepszy szczep, za którym powinna pójść całość? A przecież nigdy JEJ nie brakowało adoratorów. I nie brakuje! I to niejednego i nie byle jakich (którzy, by chcieli, że ho, ho!) — istne Wyrwidęby. Niejeden, ciut od nich starszy próbował o NIA walczyć, długo walczył, ale jako że z wiekiem problemów przybywa i to przeważnie poważniejszych od NIEJ, więc się brał za nie, a dla NIEJ zaczynało mu czasu brakować. Zasmakowali w NIEJ, nie chcieli JEJ tracić, ale ten brak czasu, brak czasu! Ale lubią się chwalić, że mieli już ją prawie (tym wierzę), a niektórzy nawet, że naprawdę (tym nie wierzę). A młodsi — ciągle się ludzą, że uda się temu, a nie innemu!

Każdy by JA chciał mieć, ujarzmić, opanować, kierować NIA, programować, sterować, czynić posłuszną

swojej woli, żeby była dla niego jak glina w rękę rzeźbiarza. Radzili, dogadywali się, rozpracowywali JA taktycznie i strategicznie, z tej i tamtej strony, razem i osobno, aż weszło im to w rutynę (ani chyba), przyzwyczaili się do tego. Mają dobre chęci (wiercie mi!).

Dobrocią i pobłażliwością z NIA nie można — bo szybko zaczynała wchodzić im na głowę, zaczynała nie wiedzieć czego chce, przestawała być konkretna. Strachem i krzykiem też nie — bo albo stawała się zahukana i osowiała jak ptaszek z bajki Krasickiego, albo harda i knąbrna jak dziki osioł. I tu też przestawała być konkretna.

Wymykała się wysiłkom czynionym i zastawianym sidłom, kpiła z nich, pozostawała niezależna, wolna. Czasem dawała się ujarzmić, aby poigrać z ni-

mi i później rzucić ich, by wrócić do swoich, sobie znanych ścieżek.

Niejednemu ręce by opadły, ale oni nie chcą JEJ popuścić, przyzwyczaili się do swoich niepowodzeń, oswoili się z nimi, żyją nimi. I próbują od nowa, razem i osobno. Skąd oni mają tyle sił? Ujarzmić JA, pokonać! Ujarzmić, pokonać ...

A mnie się wydaje, że najlepiej, to byłoby zostawić ją w spokoju, sobie samej. Od czasu do czasu warto by było o NIEJ rzec, byle nie za dużo! A jak już coś konkretnego przeszkrobie, a czasem dla profilaktyki (byle z umiarem!), starym wypróbowanym sposobem naszych dziadów, pradiadów, wziąłbym położył JA na kolano, wziął pas w jedną rękę, spuścił porządne lanie i tylko patrzył czy równo puchnie. G. St.

Przebłyski...

Zła żona i dobry bumerang zawsze wracają.

*

Przebłyski...

X wygląda, jak 10, a wszędzie go pełno.

*

Przebłyski...

Trzeba wiedzieć, na czym się siedzi, chociaż nie wypada tego mówić.

*

Nie zapominajmy, że ... Na wszelki wypadek nie zapominajmy niczego.

*

Miłość istnieje, bo skąd by się brali ci oszalałi ludzie.

*

Szczęście jest sprawą subiektywną, dzięki czemu każdy może być nieszczęśliwy, nie wadząc drugiemu.

*

Nie pije, nie pali i nie ma przyjemności z panią X.

*

Są ludzie, którym nie można zarzucić niczego prócz tego, że są.

*

Nie martw się — życie, to okres przejściowy.

*

Triumfalnie spoczął na laurach.

*

Coraz niżej sięgamy do dna.

*

Wszyscy jesteśmy szaleni, tylko trzeba umieć miarkować to szaleństwo.

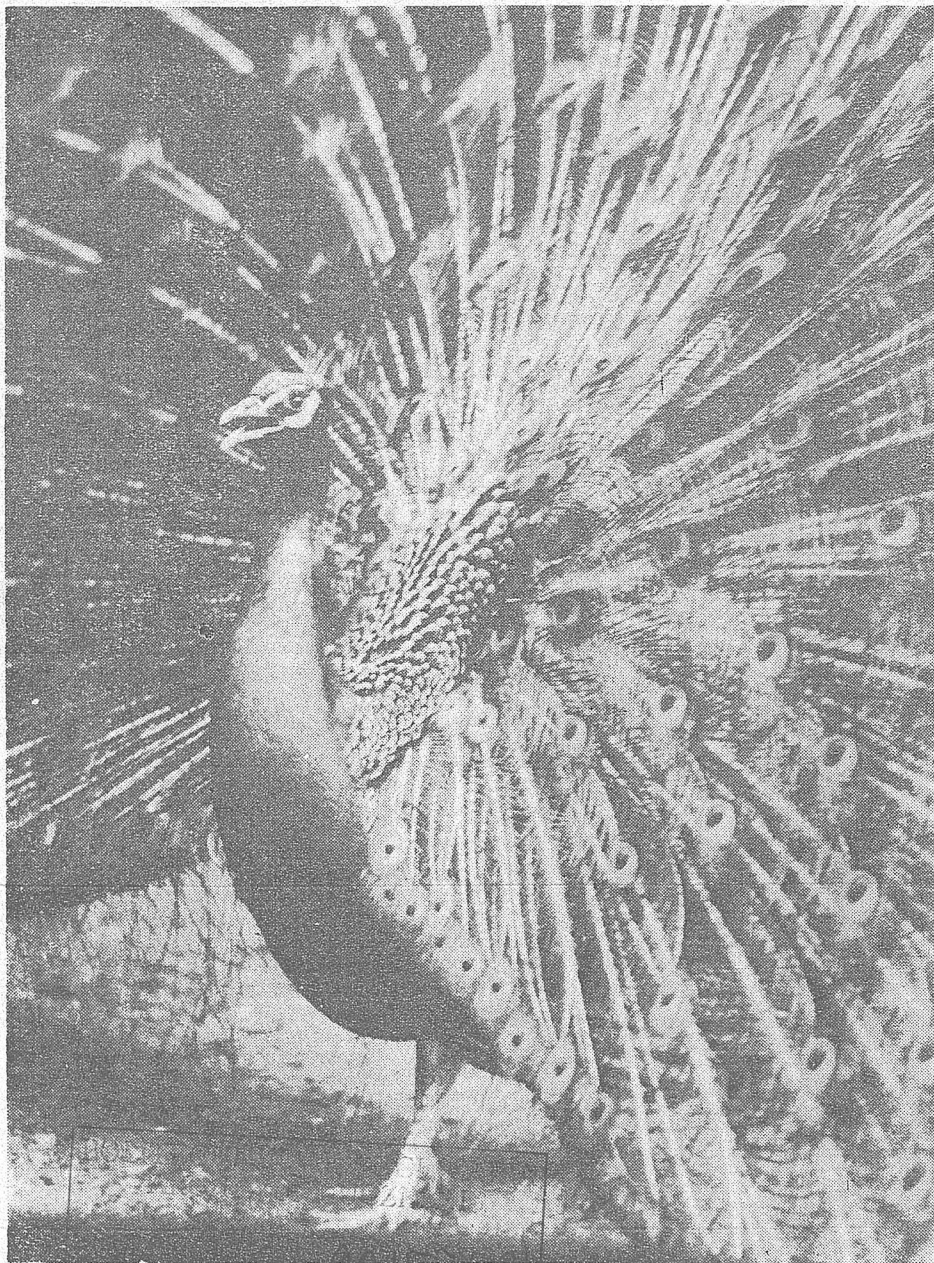
*

W związku z otwarciem drugiej granicy, do turystyki międzynarodowej mają wprowadzić półprzewodniki.

*

Jak dobrze byłoby żyć pocziwie, gdyby nie ta nuda...

HENRYK JAGODZIŃSKI



Rozpoczynamy druk cyklu zabaw, które pobudzają myślenie i rozwijają refleks, co naszym zdaniem przydałoby się wielu osobom po ośmiu godzinach ciężkiej i wyczerpującej pracy.

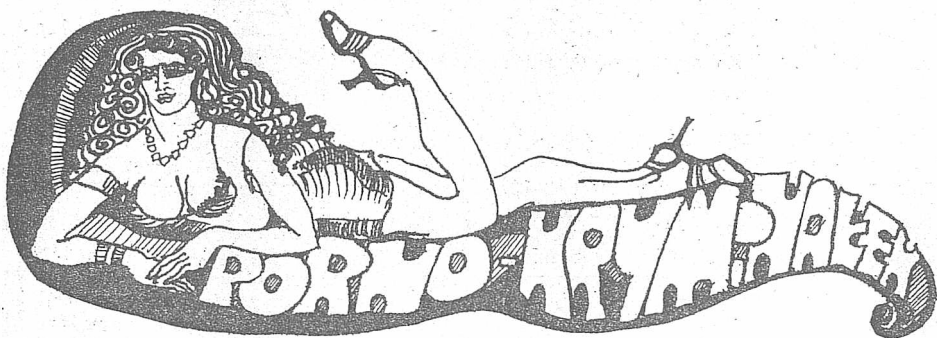
Zabawa 1: W zabawie biorą udział co najmniej dwie osoby. Może też brać udział więcej — ale po co. Każda z osób biorąca udział w zabawie ujmując w prawą rękę widelec, następnie osoby siadają naprzeciw siebie i gaszą światło. Po 5 minutach zapala się światło, a osoba która widzi wygrywa.

Życzymy przyjemnej zabawy.

REDAKCJA DONOSU

APEL

Zwracamy się do odpowiednich czynników z prośbą o przyznanie dotacji na dofinansowanie wycieczek osobistych mgr D. Piłczykiewicza pod adresem M.S. i M.L., w celu zwiększenia ich atrakcyjności i wartości formalnych.



(dokończenie)

— Wiesz kochanie, tak się przestraszałam a to był mleczarz. Po chwili leżeliśmy razem i zgodnie. Ujęła delikatnie jego rękę i położyła na prawej piersi.

— Zobacz kochanie jak moje serce bije dla ciebie — zaszczębiała.

— Przecież ty tzn. Pani ma serce po lewej stronie.

— Nie szkodzi, prawą pierś mam większą.

Kolejny ostry dźwięk dzwonka zerwał mgr Kupidowicza z łóżka, tym razem pobiegł do lewych drzwi szafy. Zanim zamknęły się za nim wyczuł dziwny, trupi smród. Wyciągnął przed siebie rękę. To był drugi trup. Dla odmiany denatka.

Podobnie jak pierwszy trup była



Dział stale i permanentnie rozszerzany.

Już starożytny poeta powiedział a imię jego 444. Wniosek stąd jasny — należy się maskować. Bo np. jak zobaczymy wroga to zalegamy i maskujemy się (najlepiej przy pomocy gałęzi), po czym patrzymy na wroga i cieszymy się, że się nie zamaskował, bo jak by się zamaskował to my byśmy się już nie musieli maskować. W przypadku jednak zamaskowania

się wroga należy go wyprowadzić w pole, to znaczy użyć fortelu (niestety tego instrukcja nie przewiduje). Najlepiej w takim przypadku posłużyć się starym, wypróbowanym sposobem polegającym na śpiewaniu. Bo kiedy wróg usłyszy — powiedzmy „Marynę” lub inną pieśń szfrową, wysunie się, żeby usłyszeć a my go wtedy nalecimy dywanowo i wytniemy w pień.

GASTRONOMIA

Zgodnie z życzeniem czytelników podajemy menu stołówek studenckich na najbliższe dwa lata:

Zupy: kapuśniak
jarzynowa
pośrednia

II dania: klops (w sosie)
zraz mielony (w sosie)
befsztyk zmielony
(bez sosu)
pulpet (w sosie)
schabowy (z wołowiny
bez kości — bez sosu)

Deser: kompot
jabłko

— A skąd ten trupi zapach w drugiej części szafy? — zapytał mgr Kupidowicz.

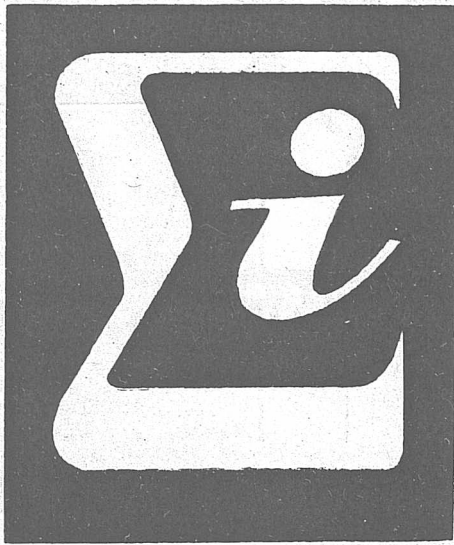
— Wiesz, babcia jest przezorna i kupiła sobie dwie gromnice, przy jednej w nocy czyta „Trędowatą”, a nigdy nie potrafi dobrze zgasić świecy.

W tym momencie otworzyły się



drzwi i wysoki blondyn znajomym głosem powiedział:

— Nie ze mną te sztuczki Bruner.



„PIÓRKIEM I WĘGLEM” W POLITECHNICE

Znany z cyklicznego programu telewizyjnego pt. „Piórkiem i węglem” prof. dr Wiktor Zin został zaproszony do Wrocławia przez miejscowy oddział Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa.

Znakomity znawca stylów architektonicznych i świetny gawędziarz mówił o wybranych zagadnieniach z budownictwa starożytnego Wschodu. Ta interesująca prelekcja została wygłoszona w auli Politechniki Wrocławskiej.

ZMS:

ZU ZMS Politechniki organizuje w dniach 24—29 IV 1972 r. uroczysty tydzień Obchodów XV-lecia ZMS. W programie przewidujemy następujące imprezy:

Poniedziałek 24.IV. — o godz. 19.00 w Auli Politechniki odbędzie się uroczysta akademii rocznicowa. Wtorek 25.IV. — Dzień Klubu ZMS „Gwarek”.

Środa 26.IV. — wielki mecz w piłkę nożną Weterani ZMS contra reprezentacja ZU ZMS (godz. 15.00)

Tematyczny maraton filmowy DKF ZMS Politechnika godz. 19.00

Czwartek 27.IV. — Dzień Klubu ZMS „Znicz”.

Piątek 28.IV. — przegląd filmów AAKF „Kwant” połączony ze spotkaniem Weteranów ZMS — Klub „Znicz” godz. 19.00

Sobota 29.IV. — bal działacza.

Jednocześnie zapraszamy do obejrzenia wystawy w hallu gmachu A-1 pod tytułem XV lat ZMS.

O ewentualnych zmianach terminu imprez będziemy zawiadamiali przez rozwieszane plakaty.

*

W kwietniu odbędzie się Plenum ZU ZMS poświęcone sprawom nauki. Głównym tematem poruszonym na Plenum będzie problem druku skryptów i pomocy naukowych dla studentów — w ramach akcji prowadzonej przez ZU ZMS.

*

Sygn.....

6.IV.1972r. odbyły się w Politechnice Wrocławskiej uczelniane eliminacje V Studenckiej Spartakiady Sportów Obronnych organizowanej przez ZMS, ZSP i AZS przy współudziale SW. Finał przewiduje się 23.IV.1972r.

*

W II połowie kwietnia odbędzie się tradycyjny Turniej Uniwersytet — Politechnika. Jak zwykle tematyka pytań będzie dotyczyła szerokiego wachlarza problemów technicznych, humanistycznych i politycznych.

*

4.III.1972r. odbyło się w klubie „Gwarek” spotkanie poobozowe uczestników międzysemestralnych obozów „Ideologia 72”. W ramach programu artystycznego uczestnicy obejrżeli debiut nowo powstałego przy ZU ZMS „Teatryku Małej Scenki” prowadzonego przez Marka Wójtowicza.

ZSP:

Począwszy od miesiąca marca w klubach studenckich Politechniki odbywają się spotkania z uczestnikami ubiegłorocznych praktyk w krajach zachodnich. Koleżanki i koledzy opowiadają o swoich wrażeniach a często niezwykle przygodach.

*

Po premierze „Końcówki” Becketta, na której nasi studenci stawili się w 100-osobowym komplecie, Komisja Kultury w ramach akcji „Humanizm dla niehumanistów” zorganizowała ponownie wyjście na to przedstawienie. Dnia 7.III., nazajutrz po przedstawieniu w klubie „Za parawanem” odbyło się spotkanie z odtwórczynią głównej roli Mają Komorowską.

*

Z nową premierą pt. „Party w Hallu” wystąpił dnia 11.03. w klubie T-4 „Za parawanem” kabaret „Indyktor”.

*

8 kwietnia odbyła się Konferencja Środowiskowa ZSP. W ramach kampanii przedwyborczej w dniach 3-10. III we wszystkich Instytutach odbywały się konferencje Instytutowe ZSP. W dyskusjach poruszone były aktualne zadania ZSP, ocena dotychczasowej działalności i program działania na najbliższy okres.

*

W dniach 15—16.IV. odbędzie się cykl imprez z okazji Dnia Obcokrajowca. Przewidziano liczne atrakcje.

*

Almatur organizuje w okresie letnim indywidualne wyjazdy na Węgry, do Czechosłowacji i Bułgarii. W ramach tej formy wyjazdów studenci będą mieli zabezpieczone przez Almatur noclegi w Budapeszcie, Balantofoldar, Vecőce, Pradze, Bratysławie i Warnie. Należność za noclegi opłacona jest w złotych w kraju. Wyżywienie oraz program pobytu organizują sobie uczestnicy SAMODZIELNIE, w oparciu o kieszonkowe zakupione w kraju.

Miejsce bardzo dużo. Zgłoszenia w Almatu — RO ZSP — ul. Kościuszki 35. Decyduje kolejność zgłoszeń.

*

W dniach 19—22.X.1972 r. we Wrocławiu odbędzie się Finał V Festiwalu Kultury Studentów Polski Ludowej. W kilkudziesięciu imprezach finałowych wezmą udział zwycięzcy poszczególnych konkursów organizowanych w ciągu całego Roku Festiwalowego na terenie całej Polski. Chętnych do pracy w Biurze Organizacyjnym Festiwalu prosimy o zgłoszenie się do Komisji Kultury RO ZSP — ul. Kościuszki 35, tel. 341-35, 380-94.



Dnia 31 marca 1972 r. zmarł Dyktor Pionu Współpracy z Przemysłem Politechniki Wrocławskiej, członek kierownictwa Uczelni, magister **BOGUSŁAW GIŻYCKI**.

Z dniem Jego śmierci Politechnika Wrocławska poniosła dotkliwą stratę. Odszedł Człowiek, z którego imieniem i działalnością związane były w ostatnich latach wszelkie kontakty naszej Uczelni z przemysłem, niejednokrotnie przez Niego inspirowane, zawsze owocne, wiążące Politechnikę Wrocławską z gospodarką narodową. Brak słów uznania dla zawodowych osiągnięć mgra Giżyckiego, dla Jego zdolności organizacyjnych, odpowiedzialności, poczucia obowiązku. Cechy te budziły powszechny szacunek i poważanie, niezmiennie jednały sympatię...

Ale dzień Jego śmierci nie oznacza jedynie odejścia niezwykle utalentowanego organizatora, człowieka o wielkiej inicjatywie i wybitnych zasługach, położonych w rozwoju naszej Uczelni — choć zdajemy sobie sprawę z tego, że strata tej niepowetujemy tak łatwo — dzień ten oznacza też utratę człowieka o wielkim charakterze, znakomicie harmonizującym z zawodowymi waleńkami wybitnego fachowca.

Sylwetka Bogusława Giżyckiego, jego niezmierna dobroć, szlachetność oraz skromność na długo pozostanie niezatarta w naszej pamięci.

ARCHITEKTURA DLA LUDZI

Poniżej drukowane spostrzeżenia na temat struktury, programów i metodyki nauczania projektowania w uczelniach radzieckich są efektem kilkumiesięcznego pobytu dra inż. arch. Eugeniusza Jodłowca z Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Wrocławskiej w ZSRR, którego głównym celem było zapoznanie się z technologią wznoszenia wielorodzinnych budynków mieszkalnych, opartą na modularnym systemie przestrzennym.

Studia z zakresu architektury są zorganizowane w ZSRR w różnych formach. W wielu stolicach poszczególnych republik istnieje równoległe kilka uczelni posiadających tę specjalność. Z reguły są to instytuty wielowydziałowe, złożone z dużych (50 i więcej osobowych) katedr. Dla przykładu można wymienić cztery leningradzkie uczelnie kształtujące architektów; są to:

- Leningradzki Instytut Architektury posiadający Wydziały: Architektury Wnętrz, Form Przemysłowych i Malarstwa Szcennego;
- Leningradzki Instytut Malarstwa, Rzeźby i Architektury im. Repina;
- Akademia Sztuk Pięknych ZSRR z Wydziałem Architektury;
- Leningradzki Instytut Inżynierii i Budownictwa z Wydziałami: Budowlanym i Urbanistycznym oraz specjalnościami projektowanie obiektów przemysłowych i społeczno-usługowych oraz produkcji materiałów budowlanych i projektowania konstrukcji.

Współistnienie różnych typów wyższych szkół, przygotowujących kadry architektoniczne, jest wyrazem realistycznego rozumienia potrzeb oraz możliwości występowania różnych postaw wobec problemów kształtowania przestrzeni. Podobne zróżnicowanie jest zjawiskiem nie nowym i naturalnym w wielu krajach zachodniej Europy.

Interesujący jest tu fakt że absolwent zarówno Instytutów jak też Akademii Sztuk Pięknych uzyskuje równorzędny i jednolity tytuł zawodowy: architekt. Taka zasada obowiązuje również w krajach zachodnich. Podział architektów na uprawnionych i nie uprawnionych jest rzeczą nie znaną. Występowanie różnic programowych oraz różny stopień pojmowania architektury, jako dyscypliny nauk technicznych czy sztuki, ma pozytywne skutki między innymi w tym, iż adept tego zawodu ma szansę wyboru określonego światopoglądu architektonicznego, stosownie do swych predyspozycji psychicznych i intelektualnych, oraz do swych technicznych lub plastycznych umiejętności.

Warto również przypomnieć, iż w ZSRR nie ma stopnia magistra. Pierwszym stopniem naukowym, odpowiadającym naszemu doktorowi w architekturze jest kandydat architektury, zaś drugim — i ostatnim — doktor nauk technicznych. Biorąc pod uwagę skalę wymagań określonych przepisami, posiadanie tego ostatniego jest zjawiskiem raczej rzadkim.

Na uwagę zasługuje także struktura kadry naukowo-dydaktycznej. Dominantę stanowią tu pracownicy z tytułami profesora lub docenta oraz pra-

cownicy posiadający stopnie naukowe. Stopień kandydata nauk technicznych jest zjawiskiem masowym. Stanowisko asystenta, będące w naszych uczelniach podstawą w realizacji zadań dydaktycznych, w architektonicznych uczelniach radzieckich jest marginesowe; rola asystenta sprowadza się tu do pełnienia podrzędnych obowiązków, takich jak np. prowadzenie części administracji katedr oraz do wykonywania czynności porządkowych i przygotowawczych. Zajęcia z zakresu projektowania architektonicznego są prowadzone wyłącznie pod kierunkiem profesorów i docentów w grupach od 8 do 10 studentów. Przypadkiem dość częstym jest powierzanie prowadzenia zajęć wybitnym architektom praktykom. Za przykład niektórych właściwości struktury tego typu uczelni może posłużyć Moskiewski Instytut Inżynierii i Budownictwa, w którego skład wchodzi 10 wydziałów, w tym: Wydział Budownictwa Przemysłowego i Społeczno-Usługowego (studia dzienne i wieczorowe) oraz Urbanistyki. Profil naukowo-dydaktyczny tych wydziałów określają następujące katedry: geometrii wykresowej i grafiki, projektowania architektury obiektów przemysłowych i społeczno-usługowych, budowy miast, konstrukcji stalowych, żelazobetonowych, drewnianych i z tworzyw sztucznych, ekonomiki i organizacji budowy, bezpieczeństwa pracy i geodezji. Skład osobowy instytutu tworzy zespół 734 pracowników; w liczbie tej znajduje się 71 profesorów i 280 docentów. Stopień doktora nauk technicznych posiada 7 osób, zaś 308 stopień kandydata.

Uczelnią o zbliżonym profilu działalności naukowo-dydaktycznej do Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Wrocławskiej, posiadającą rozwinięte specjalności, ukształtowane w formach samodzielnych wydziałów, jest Moskiewski Instytut Architektury. Wśród pięciu jego wydziałów wiodącymi są: architektury obiektów przemysłowych, społeczno-usługowych oraz urbanistyki.

Szczególną właściwością programu studiów specjalności architektura w instytutach inżynierii i budownictwa jest obowiązek wykonania dwóch projektów kursowych w semestrze oraz liczba godzin przeznaczona na ćwiczenia projektowe; od I do VII semestru liczba ta wynosi 8 zaś w następnych 12 godzin w tygodniu. Zatem w stosunku do innych przedmiotów — zarówno podstawowych, jak i pomocniczych — swoje należne miejsce, stosownie do roli, jaką spełnia ono w czasie studiów i w praktyce. Wykonanie w okresie 5,5-letnich studiów 20 projektów powoduje nie tylko konieczność zetknięcia studenta z różnorodną tematyką projektową, ale również rozwija wszechstronnie umiejętności warsztatowe oraz możliwości i nawyk pracy koncepcyjnej. Zgodnie ze skalą potrzeb społecznych największa liczba tematów (4) dotyczy architektury budynków mieszkalnych, następnie obiektów społeczno-usługowych (3) i urbanistyki (3). Wszystkie projekty z wyjątkiem dwóch pierwszych semestrów (Katedra Podstaw Projektowania Architektonicznego) są opracowywane w Katedrze Projektowania Architektonicznego.

Odrębną cechą w porównaniu z naszymi wymaganiami, jest praca dyplomowa, wykonywana w XI semestrze. Zadania związane z pracą dyplomową są rozłożone w dwóch fazach. Po wstępnym okresie ustalenia, przygotowania tematu i programu pracy, dyplomant zobowiązany jest do wysłuchania 3 wykładów specjalistycznych, przedstawienia i przestudiowania literatury, do uczestnictwa w 1-tygodniowym seminarium i w końcu — do wykonania pracy klauzurowej. Następna faza — to praca kandydata wykonywana pod kierunkiem prowadzących, dyżurujących w salach dyplomowych w instytucie. Ciekawostką jest obowiązek wykonania pracy na brykolu naklejonym na twardej podkład, usztywniony dodatkowo drewnianą ramą, o jednolitym formacie 1,0 x 1,0 m. Pracę dyplomową realizuje się w okresie 22 tygodni w wymiarze 36 godzin tygodniowo.

Zarówno tematy jak programy prac kursowych i dyplomowych uwzględniają szeroką problematykę zróżnicowanych potrzeb poszczególnych republik, narodów, klimatów itp. Ma to również swój wyraz w specyfice prac naukowych i projektowych instytutów różnego typu a szczególnie instytutów naukowo-badawczych, jako konsekwencja strefowego podziału terytorium ZSRR, zgodnie z diametralnie różną skalą warunków i potrzeb. I tak np. leningradzkie instytuty opracowują problematykę urbanistyczną i architektoniczną północnej, europejskiej części ZSRR oraz Syberii, kijowskie zaś — strefy południowej ze szczególnym uwzględnieniem specyfiki Karpat, Krymu i południowych Republik ZSRR.

W porównaniu z niektórymi właściwościami naszego programu studiów oraz z metodami kształcenia architektów, poznane uczelnie radzieckie niewątpliwie cechują się odmiennością, zaś ich cele dydaktyczne i metodyczne zawierają cenne i ambitne elementy, które można m.in. uszeregować następująco:

- zdecydowana dominacja projektowania architektonicznego w stosunku do innych przedmiotów;
- różnorodność specjalności w zakresie projektowania, ukształtowanych w formę samodzielnych wydziałów oraz różnorodność szkół;
- wszechstronne i maksymalne zetknięcie studenta z tematyką projektową;
- stosowanie zasady prowadzenia studenta w zakresie projektowania przez zespół pracowników jednej katedry;
- stosowanie w projektach katalogowych asortymentów elementów budowlanych oraz opracowywanie niektórych tematów w fazie projektów technicznych;
- stosowanie zasady sprawdzania rozwoju i samodzielności studentów poprzez klauzury kończące każdy semestr;
- opracowywanie zespołowych dyplomów o kompleksowych programach uwzględniających potrzeby gospodarki.

EUGENIUSZ JODŁOWIEC

Sygn.....
Miejsce złożenia.....

Okno Okno Okno

Dlaczego to zrobiłeś?
Tak pyta jedna z moich ciotek.
Tak pyta każdy. Owijają mi
to pytanie w delikatną powłokę —
żeby nie wydało się obcesowe —
martwią się i troszczą, że tutaj leżę.
I pytają.

Dlaczego to zrobiłeś?
Robercie, powinieneś być z nami
szczyry.

I ona używa mojego imienia. Dla-
czego ona użyła mojego imienia. Jedna
dziewczyna, już bardzo dawno, nazy-
wała mnie Bert. Mówiła niekiedy:
Bert, ty jesteś trochę narwany. Albo:
Prześtań mnie zanudzać, Bert.

Poza tym: dlaczego ona kłamie?

I jestem — szpitalne łóżko, char-
czący sąsiad z lewej strony, cztery
okna po prawej stronie, które już na
mnie nie działają. Okna na czwartym
piętrze.

Zaśmiałem się, sprawiło mi to wy-
silek. Zrobiło mi się duszno.

Dziwne, że nie możecie tego zrozu-
mieć. Przecież to tak bardzo proste.
Miałem lęk przestrzeni. To był tylko
lęk przestrzeni, nic więcej. I dziew-
czyna w oknie naprzeciwko. Jedynie
to. Widziałem tę dziewczynę, jak krzą-
ta się po kuchni, na trzecim piętrze,
nie znałem jej, była bardzo piękna.
Patrzyłem na nią jak się krząta, prze-
stawiła herbatę ze stołu na kredens,
otwiera i wyjmuje coś ze spiżarki, po-
prawia włosy. Ona do dzisiaj z pew-
nością nie wie, że się jej wtedy przy-
glądałem. To bardzo proste. Patrzyłem
na nią i wiedziałem, że nigdy jej nie
poznam, nie będę jak inni mogli trzy-
mać ją za rękę. I wiedziałem, że moje
życie zamknęło się w jakimś kregu,
którego nie rozerwę, nie pójdę dalej.
Mogłem umrzeć. I wiedziałem, że mo-
gę umrzeć dla siebie, dla tej dziew-
czyny, dla piyty, której wtedy słucha-
łem. Takie było moje życie. Tyle zna-

czyło. Wystarczyło, że zbliżyłem się do
okna i samo mnie wciągnęło. Do od-
chłani. Do wnętrza.

Czas odwiedzin minął — powie-
działa pielęgniarka.

Ciociu, nie przychodź tu nigdy. Bar-
dzo cię o to proszę.

Wstała, położyła na stoliku cze-
koladę i wyszła.

Siostró — mam prośbę. Jak ktoś bę-
dzie chciał mnie odwiedzić, to mówcie
co chcecie, że śpię, czy że mnie ope-
rują, czy że już nie żyję, ale nie wpusz-
czajcie nikogo. Dobrze, siostró?

Każdy uważał mnie za kretyna. Tyl-
ko sam siebie rozumiałem.

2.

Zwróciłem się do grubej pielęgniar-
ki, gdy miała dyżur na naszej sali.

Proszę siostry. Chciałbym chwilę z
siostrą porozmawiać. Czy może siostra
przy mnie usiąść?

Usiadła. Robiła mi łaskę.

Chodzi o to, proszę siostry, że sio-
stra może mi pomóc. Chyba to się da
załatwić przez siostrę. Proszę mi przy-
rzec, że siostra się tym zajmie, gdy to
będzie aktualne. Bo to dla mnie naj-
ważniejsze. Jak umrę — niech mnie
spalą, albo niech zrobią ze mną co
chcą, ale niech mnie nie kopią do zie-
mi. Najlepiej niech mnie spalą w du-
żym piecu w ogrodzie, tam gdzie palą
liście. Zaraz, gdy umrę, niech wrzu-
cą mnie do tego pieca, na nic niech
nie czekają. Albo, wie siostra co, niech
mnie sobie zabierze MEDYCYNĄ, niech
robią tam ze mną co chcą, ale żeby od
razu gdzieś mnie wywieźli, tak żeby
nikt mnie nie widział. Umarłego.

Wysłuchała mnie. Ale potem spoj-
rzała tak charakterystycznie i odeszła.

Wiedziałem o tym piecu w kącie
ogrodu, bo kiedyś, gdy wszyscy już
spali, wstałem, pomimo że było mi to
wyraźnie zabronione, i cicho podszed-

łem do okna. Chciałem po prostu
sprawdzić, czy okno będzie mnie jesz-
cze przyciągać, czy też wyleczyli mnie
już z tego. Widocznie wyleczyli, bo
nic na mnie to okno nie działało. Wy-
glądałem przez chwilę i zobaczyłem
piec w kącie ogrodu. Wtedy już po-
stanowiłem, że powiem wszystkim le-
karzom, żeby mnie po śmierci spalili.
Bo to najgorsza rzecz chować zmar-
łych do ziemi. Skazywać ich na gniciu.
Więc już wtedy postanowiłem, że mu-
szę dopóki żyję tak to ułożyć, żeby
mnie po śmierci spalili. Zafascynował
mnie ten piec w ogrodzie, tak jak kie-
dyś fascynowało mnie okno. Chciałem
też zdobyć pewność, że okno już na
mnie nie działa. Siadłem na parapecie,
okno było uchylone, otworzyłem je na
oścież, ale wtedy zbudził się człowiek
leżący na czwartym łóżku. Był chory
na raka, wiedział o tym tak samo do-
brze jak ja, jak lekarze, pielęgniarki
i inne zainteresowane osoby, których
nie obchodziło, czy on umrze, czy nie.
Ten nieuleczalnie chory zbudził się,
chwilę patrzył na mnie jakby zahip-
notyzowany, potem wymacał w ścia-
nie, przy której leżał, dzwonek,
i z przeraźliwym krzykiem wpłił się
w niego. Pobudził wszystkich i wszy-
scy patrzyli na mnie. Zszedłem z para-
petu okna na czwartym piętrze i po-
wiedziałem:

Pan przecież umrze.

A on nadal tak dziwnie patrzył
i wpijał się w dzwonek. Chwilę potem
wpadła siostra, potem jakiś lekarz,
a potem jeszcze dwóch lekarzy. Sta-
rałem się im wytłumaczyć, że wcale
nie miałem zamiaru skakać przez
okno, ale oni byli bardzo zdenerwo-
wani i wcale mnie nie słuchali. Dali
mi jakieś tabletki, po których zaraz
zasnąłem. Od tego czasu nazywają
mnie na sali samobójca.

Nie wiem dlaczego po tym choler-
nym skoku przywieźli mnie tutaj, mo-
gli mnie przecież umieścić w szpitalu
tam gdzie mieszkam, widocznie jednak
tam nie było miejsca, skoro mnie tu
przywieźli. Zastanawia mnie dużo rze-
czy, których z pewnością nigdy się nie
dowiem. Ciekawi mnie co robili moi
rodzice, gdy wyskoczyłem przez okno.
Byli przecież w sąsiednim pokoju.
Zastanawia mnie jak szybko przyje-
chała karetka pogotowia i jak to
wszystko wyglądało. Chciałbym, żeby
mi się to kiedyś przysniło. Jestem cie-
kawym jak wyglądałem, gdy pochyłał
się nade mną lekarz (a może młoda
lekarzka w wąskiej spódnicy pod le-
karskim kitem), gdy sanitariusze nie-
śli mnie do karetki, jestem bardzo
ciekawym jak to wyglądało; wyjąca
karetka wśród ciemnych ulic, szpital,
pochylający się lekarz (lekarka), wra-
żenie wywołane na chorych, którzy
tu leżą, gdy wnieśli mnie na salę.

Poczucie siebie miałem do czasu
wychylenia się przez okno. Potem
wszystko się zlewało. Coś czułem, że
lece, czułem jak zaczepiłem się o dru-
ty telegraficzne, potem czułem ten
upadek, to był jakiś dziwny wstrząs,
nic więcej nie mogę o tym powiedzieć
— nagle coś mną wstrząsnęło, jedno-
cześnie czułem jak otwiera mi się
czaszka i jak wszystko wypływa na
bruk. Dziwne; leżąc przez chwilę przy-
tomny po tym upadku byłem pewien,
że ulicą przechodzi akurat jakaś para,
piękna dziewczyna z bardzo wysokim
chłopcem. Ta dziewczyna była podob-
na do tej, obok której siedziałem na
występie Helen Shapiro. Przypominała

mi ją. I o tym myślałem, gdy przez chwilę przytomny leżałem po tym cholernym skoku. I o tym, że oni widzieli jak spadam z drugiego piętra i z pewnością słyszeli płytę Françoise Hardy, którą nastawiłem wcześniej. O, i jeszcze ciekawi mnie, kto tę płytę wyłączył.

Potem był chaos. Chwilami odzyskiwałem przytomność, ale to było jeszcze bardziej męczące, bo nie odbierałem żadnych wrażeń. Przez ten czas prawie ciągle widziałem przed sobą odpływające fale, co często śniło mi się w dzieciństwie, będąc zawsze zapowiedzią choroby. I nagle, któregoś dnia, obudziłem się. Chciałem iść do łazienki — jak zwykle w domu — spróbowałem wstać, lecz przeszył mnie straszny ból i opadłem z powrotem na łóżko. Znowu straciłem przytomność, ale po odzyskaniu jej wszystko wokół mnie było bardzo jasne. Przyszedł jakiś lekarz i długo ze mną rozmawiał. Powiedział, że to był wypadek i że wszyscy o tym wiedzą, że to był wypadek. Wszyscy z pewnością wiedzieli, że to wcale nie był wypadek, a w szczególności wiedzieli o tym moi rodzice. Bo zostawiłem obok adapteru złożoną wpół kartkę. Pisało na tej kartce KWIATY TO SIEDLISKO ROBAKÓW.

Ten lekarz powiedział, że z początku było ze mną kruch, ale teraz jest już zupełnie dobrze. Tak powiedział, a ja mu oczywiście nie wierzyłem. Był takim samym kłamcą jak wszyscy ludzie, których dotychczas spotkałem. Oprócz jednej osoby, tej właśnie dziewczyny, która kiedyś nazywała mnie Bert.

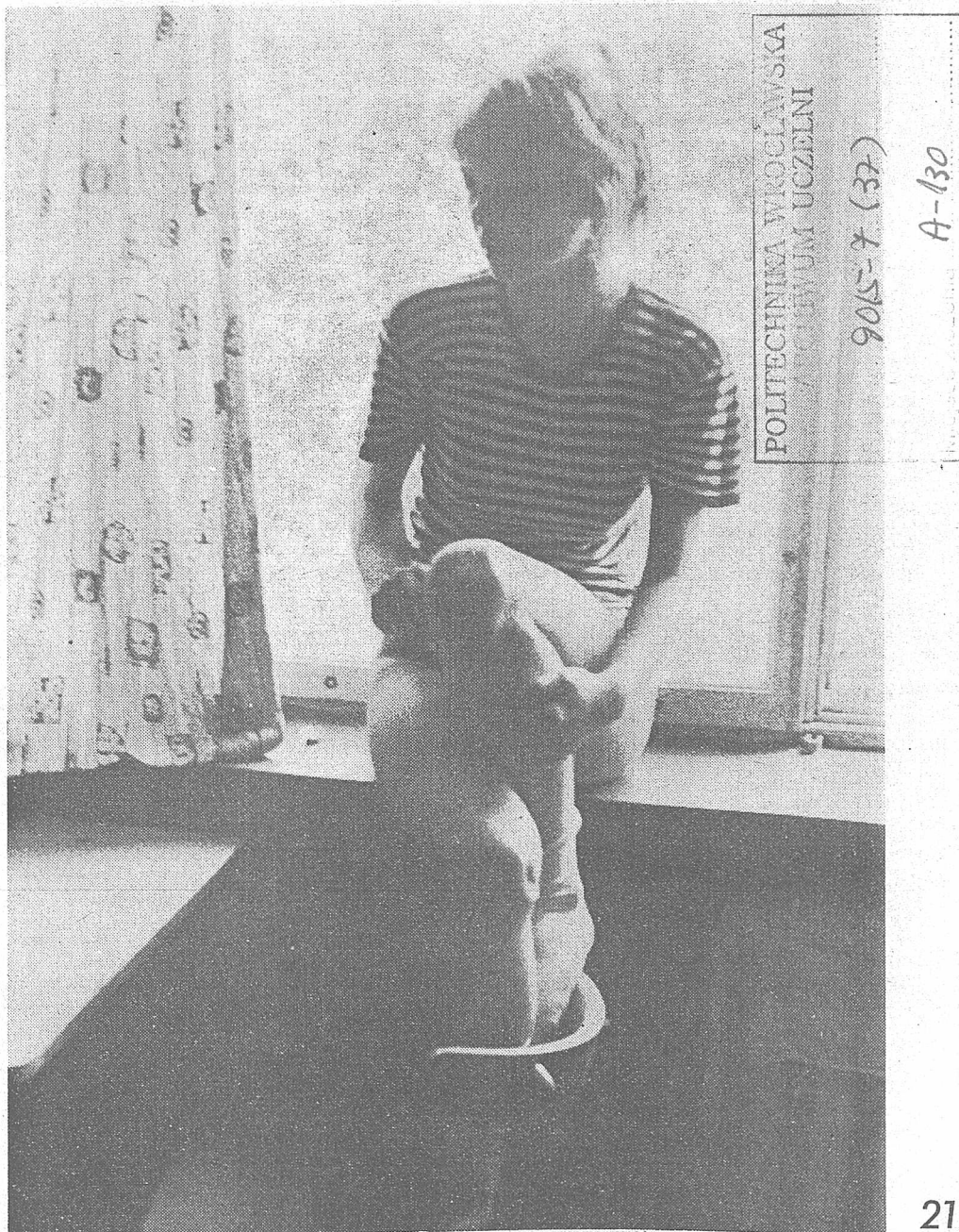
Przywieźli mnie więc tutaj, dokładnie nie wiem gdzie, ale daleko od miejsca, gdzie chyba od razu powinienem był leżeć, i gdzie z pewnością będę w niedługim czasie leżał, bo niezbyt jednak wierzę, żeby mnie mieli spalić, jak sobie życzę, z pewnością mnie jednak pochowają.

Jestem bardzo ciekawy jak ten mój pogrzeb będzie wyglądał. Widziałem raz swój pogrzeb, a było to podczas jednego z ataków serca. Rzucało mną wtedy okropnie, bałem się ruszyć i mimo tego, że nie mogłem łapać tchu, czułem że zasypiam. Wiedziałem, że gdy zasnę to już nigdy się nie obudzę, ale było mi wtedy całkiem obojętne czy umrę, czy nie. Czułem, że mimo duszności i wstrząsów zasypiam i staną mi przed oczyma mój pogrzeb. Klepsydra na murze obok bramy, gdzie pisze, że zmarł nagle w wieku lat 17, kilku ludzi przystających przed tą klepsydrą, ludzi którzy zdziwiają się, że w tak młodym wieku zmarł nagle, kilku sobie przypomni jak opowiadała im moja matka, że miałem jakiś atak serca, ale większość tak tylko sobie przystanie, odczyta, spojrzy w okna na drugim piętrze, pomyśli a potem będzie opowiadać wszystkim, że nie byłem dobrym dzieckiem (tak z pewnością powie, dzieckiem), że dukałem szanownym rodzicom, nie uczyłem się, a raz nawet widzieli mnie na ulicy pijanego, że byłem źle wychowany, nie kłaniałem im się, a raz powiedziałem im wszystkim, że są chamami. Rzeczywiście kiedyś tak powiedziałem. Umarł mój kolega. Miał 24 lata. Utopił się w czasie kąpieli w wannie. Przed jego klepsydrą były tłumy plotkujących kobiet. Przystanę tam na chwilę i usłyszę jak tajemniczym szeptem opowiadały jakieś historie o tym umarłym chłopcu. Nie powinni o nim nic mówić, ani dobrze, ani źle.

Wtedy coś się we mnie na chwilę zerwało i zapytałem tych ludzi, czy wiedzą, że są chamami. A potem wytrzymałem ich obrażone, zgorszzone, zdziwione spojrzenia i odszedłem do domu. Wiedziałem, że te wszystkie rzeczy będą mi wspominać, gdy umrę, będą plotkować nad moją klepsydrą, a z pewnością nikt wtedy nie podejrze do nich i nie powie im, że są chamami. Nikt nie jest taki jak ja, więc nikt tego nie zrobi. I dlatego bym chciał, żeby mnie spalili. A gdyby to było naprawdę niemożliwe, to chciałbym, żeby mój pogrzeb był jak najbardziej skromny i cichy, żeby za trumną szło tylko kilka osób, żeby szła Alina, ta dziewczyna, która nazywała mnie Bert, i jeden mój kolega, żeby szli razem trzymając się za ręce. Potem chciałbym, żeby za moją trumną szedł pan Jurek, ten PRAWDZIWY CZŁOWIEK, chciałbym żeby szedł — też w orszaku — za Aliną i tym moim kolegą, żeby był jak zwykle pijany i żeby powtarzał, że byłem jego bardzo dobrym kumplem. Chciałbym, żeby tak mówił. Tylko te trzy osoby powinny być na moim pogrzebie. Żadnego księdza, po co mi to,

tylko oni i nikt więcej. Żeby pochowali mnie gdzieś w lesie, w miejscu, które by znali tylko oni. I żeby koniecznie Alina pierwsza sypnęła na moją trumnę garść ziemi. Taki chciałbym mieć pogrzeb. Ale takiego nigdy nie będę miał. Pochowają mnie z pewnością jak chrześcijanina, z księdzem, może wtrąca tam jakąś podł, wcale nie religijną orkiestrę, a za mną będą szły tłumy ludzi, i to właśnie będzie najokropniejsze. Te tłumy ludzi. Ksiądz z pewnością wygłosi nad moim grobem jakąś mowę, za którą moi starszycowie zapłacą mu kupę forsy, z której skąpili mi kiedyś na buty. A ksiądz będzie za te pieniądze mówił tak słodziutko i w ogóle z patosem, że wszyscy w to co mówi uwierzą. Sypnie garść ziemi na trumnę i powie: Straciliśmy, drodzy wierni, wielkiego chrześcijanina — a ludzie tylko przez powagę chwili nie roześmieją się, będą przecież wiedzieli, że już od dobrych kilku lat nie chodziłem do kościoła i że miałem ten przybytek gdzieś. Ale ksiądz to nic oczywiście nie będzie obchodziło, będzie mówił, że stracili chłopca cichego, dobrego, skromnego i jeszcze

Fot. A. Milli



coś, ale że BÓG wszystko widzi i z pewnością przyjmie mnie do swych niebiańskich apartamentów. To wszystko będzie szalenie śmieszne i kto wie, czy nie zmartwychwstań przez ten cały cholerny humor.

Ale mniejsza z tym. Chcę, żeby mnie spalili i to wszystko. I niech spala ze mną wszystkie moje rzeczy; książki, które mam w swojej bibliotece, płyty i inne moje rzeczy. Niech wszystko popala. Cały mój świat. I niech każdy o mnie raz na zawsze zapomni. Gdy umrę — nie ma mnie. Dla nikogo. Nie chcę żadnych cholernych przypomnień. Boję się tego.

Za jedno jestem moim rodzicom wdzięczny. Że zrozumieli, że wcale sobie nie życzę, żeby mnie w tym szpitalu odwiedzali. A z początku dość często przyjeżdżali. Bardzo mnie te odwiedziny przygnębiały. Wystarczyło, że przypominałem sobie o nich i już miałem przed oczyma obraz jak oni jadą samochodem te kilka, kilkadziesiąt, czy kilkaset kilometrów, żeby odwiedzić kochanego syna. Bardzo ten obraz działał na mnie pesymistycznie. Dlatego też jestem im szalenie wdzięczny, że już mnie nie odwiedzają. Jeszcze bardziej byłbym wdzięczny, gdyby w ogóle o mnie zapomnieli.

Wtedy, w poniedziałek, nie poszedłem do szkoły z tego prostego powodu, że mi się nie chciało. Zostałem w domu. Nie będę opisywał tego co robiłem, bo i tak nikt by tego nie zrozumiał — całe moje życie było jednym iluzjonistycznym kołem, ludziłem się zawsze. Ludziłem się idąc za dziewczyną, którą chciałem poznać. Ludziłem się czując jej perfumy, uważałem że świat wcale nie jest zaperfumowany, a to było ogromne kłamstwo, bo ta dziewczyna to były perfumy w zaperfumowanym świecie. Ludziłem się przebywając z kolegami, ludziłem się, że oni są chociaż trochę podobni do mnie, bo zawsze szukałem kogoś chociaż trochę do mnie podobnego. Ludziłem się też w każdym innym momencie, na każdym kroku swojego życia.

Żyłem niby w swoim własnym świecie, ale to nie była prawda, bo pragnąłem być równie szczęśliwy jak moje niesprecyzowane i nie oderwane od kuli mojego środka marzenia. Miałem niekiedy przebliski niezwykłej żywotności, towarzystwa i jakiejś improwizowanej młodości. Marzyłem o odrębnym świecie młodych, pisanych być może z dużej litery, świecie w którym wszystko byłoby naturalne, gdzie nie byłoby tych wszystkich rzeczy, z których powodu przechyliłem się przez okno. Marzyło mi się niekiedy, że świat młodych będzie prawdziwą szczerością, będzie jedną wielką rodziną, świętą rodziną.

Moja wykształcona ciotka odwiedzała mnie od czasu do czasu i przynosiła mi czekolady i pomarańcze, które rozdaje zwykle moim chorym sąsiadom, za co mnie chociaż trochę chyba lubią, ta moja wykształcona ciotka nie może zrozumieć, że coś takiego jak ja zrobiłem, mógł zrobić normalny człowiek. Ja wiem, że mógł, bo mimo wszystko jestem normalny.

Ale oni tego nie wiedzą, ta moja sztuczna rodzina i ci wszyscy podli ludzie, ci, którzy szokują takich jak ja — jeżeli tacy w ogóle istnieją — wulgarną uczuciowością, ci, którzy zaczepiają

dziewczeta, przed którymi powinni klęczeć i całować ich zakurzone miejskim pyłem stopy, ci, którzy są ohydnyymi snobami, co jeżdżą własnymi samochodami wraz z żonami, i ci, co nie jeżdżą własnymi samochodami, bo ich nie mają, ci niby mądrzy intelektualści i ci najgorsi robociarze, ci tępi ludzie co chodzą do kina szukając tam pokarmu dla szarych komórek, a później dyskutują o głupich filmach robiąc mądre miny, ci co nie wiedzą co to znaczy mentalność i ci co to wiedzą, ale są w gruncie rzeczy takimi samymi jak i tamci, głupkowaci wiejscy chłopcy, którzy chodzą do miasta do szkół i czekając na autobusy, którymi rozjeżdżają się do domów, patrzą tępym wzrokiem ślinia się, albo jedzą palony słonecznik, ci i cała reszta innych ludzi, którzy dla mnie wcale nie są ludźmi, ale jestem zbyt wielkim tchórzem, by wypowiedzieć to głośno, ci ludzie zawsze uważali mnie za kretyna i jestem pewien, że uważają mnie za kretyna także i teraz. Bo oni nigdy, czego jestem pewien, nie skakaliby oknem. A ja skoczyłem.

To było nieuniknione. Wchodziła w grę tylko kwestia czasu. Zdarzało się, że znajdowałem się przypadkowo dość wysoko, na przykład na klatce schodowej czwartego piętra, nie mogłem wtedy przejść wyżej, zbliżałem się i zaciskałem ręce na framugach, by nie wypaść. I niekiedy sam do siebie mówiłem, że bym nie wypadał. Spoglądałem w dół i widziałem odbijającego się mocno obiema nogami, lecącego głową naprzód, a potem jeden ogromny wstrząs, bezbolesny w swej sile i ostateczny, po którym przestawałem być człowiekiem. Były chwile wahania, i wtedy czułem jak okno mnie wciąga, ale zawsze było coś — mali chłopcy biegający po trawniku, lub bawiący się w piasku, ich dziecięce twarze, nie pokryte jeszcze świadomością, te twarze mnie zastanawiały i łudziły, wtedy chciałem żyć i miałem nadzieję, że jeszcze zobaczę tych chłopców, a może nawet stanę się jednym z nich i będę biegał z małą łopatką po spalonym słońcem podwórzu — co powstrzymywało mnie. Ale jednak wiedziałem, że kiedyś nic nie zdoła mnie powstrzymać. To było udręką, ale i pocieszeniem.

Wieczór, ta dziewczyna na trzecim piętrze, jej ruchy, tej dziewczyny wśród siedliska kurw —

Płyta Françoise Hardy, smutna dziewczyna śpiewająca o smutnych dziewczynach, o fałszywej młodości, to byłem ja, ale ta płyta też była fałszywa. Stworzyła obraz, który nigdy nie będzie prawdziwy.

Wtedy właśnie napisałem na wyrwanej z zeszytu do polskiego podwójnej kartce

KWIATY TO SIEDLISKA ROBAKÓW
Płyta się skończyła, złożyłem kartkę wpół, wyjrzałem przez pociągające mnie okno, dziewczyna stała ze szklanką herbaty (to na pewno była herbata) w ręce, potem odstawiła ją na kredens, widziałem to wszystko, chciałem coś do niej krzyknąć, pohamowałem się jednak, przecież i tak by nie usłyszała, a usłyszeli by moi rodzice odpoczywający po ciężkim dniu umysłowej pracy w sąsiednim pokoju. Ulicą szła grupa moich byłych kolegów, banda chuliganów, którzy kiedyś, i może jeszcze teraz, imponowali mi swoją żywiołową młodością, uczuciem chwili i być może nawet chamstwem,

do czego mogę się przyznać jedynie w obliczu śmierci. Oni dopełnili reszty, bo nie mogłem się pogodzić, że tak jest i że nie będzie — za życia — inaczej. Oderwałem się od okna, które zaczynało mnie wciągać, nie chciałem tego robić przy nich, przeczekałem aż przejdą, potem drugi raz opuściłem szafirową igłę na płytę Françoise Hardy i słuchałem jej wpatrując się nieruchomo w wirujący krążek. Po chwili przestałem dostrzegać, widziałem swój mózg, patrzyłem sam sobie w oczy, oczy w oczy, przebiegałem je i widziałem własny pokryty robakami mózg, widziałem dokładnie jak pełzły te robaki w głąb mojej czaszki, robaki w robaczywym mózgu; nagle odkryłem, że dostrzegam swój własny mózg, przeraziłem się, bo ten mózg był prawie cały zjedzony, to były robaki na kwiatach, kwiaty — siedliska robaków. Otrząsnąłem się i zobaczyłem rozslonecznioną ulicę, kasztany po bokach szosy, i ja idący tą ulicą z piękną dziewczyną, która wie kim jestem i jaki jestem naprawdę, widziałem to wszystko z tyłu; bardzo wysoki chłopak w popielatym swetrze z podwiniętymi rękawami, ona na białą, rudoblon włosy, trzymamy się za ręce, to właściwie ona mnie trzyma za obnażoną rękę tuż poniżej łokcia, tak idziemy rozpaloną ulicą, mijamy cienie drzew, idziemy bez słowa, nagle przejeżdża obok nas samochód, osypuje nas kurzem, a my śmiejemy się i obracamy się do siebie, pochylam się, całuję ją, ona rozburza mi włosy, śmieje się prosto w twarz, ja też, i to wcale nie jest perfumowany oddech, to nie perfumy w zaperfumowanym świecie, to nie robaki w robaczywym mózgu, to naturalne, takie czyste, SZCZĘŚCIE!

Dlaczego tak nie może być?

podchodzę do okna jestem cały roztrzęsiony trzęsie mną na próżno staram się gorączkowo przypomnieć czy ta dziewczyna którą widziałem w swojej iluzji to była Alina chyba nie bo Alina miała czarne włosy to musiał być ktoś inny który nie był inny jestem już przy oknie spoglądam na trzecie piętro domu naprzeciwko pustka po chwili jednak w białym obramowaniu światła pojawia się moja dziewczyna staje blisko mnie naprzeciw poprawia widoczne w szybie włosy wiem że zaraz mnie dotknie jestem rozkapryszony nie chcę żeby mnie dotykała

nie chcę niczego nie ma niczego nie chcę żyć przechyliam się i to jest koniec to powinien być koniec płyta gdyby wszyscy chłopcy i dziewczęta leć w dół dziewczyna z domu naprzeciwko kładzie mi ze smutkiem rękę na karku nie ona jest taką samą kurwą jak wszyscy jak świat chędoży się na stojąco odchodzi w głąb kuchni i myśli o jutrzejszym dniu a ja leczę głową w dół z drugiego piętra wprost na betonowy chodnik

mnie pochłonie przebiegę go obok aliny moich marzeń ludzi sam wyczarowałem centrum spokojnej plaży z musującym winem jeziorem z boku lśnieniu piasku chińskich kryształów prawdziwe kwiaty w wazach las czystych drzew oswojonych zwierząt nie będą

głupsze mądrzejsze jednakowi ludzie
lasu jeziora zwierzęta piaszczyste
brzegi wysepki w cieniu
wierzb podróżne torby w zagłębieniu
wyschniętego kanionu droga wszyscy
na rowerach nie ma samochodów

nie ma kurw nie ma robaków kwiaty
są wyjątkowo czyste naprawdę
kwiaty moje książki ustawione
w jeziorze czarne dębowe
regaly każdy jest człowiekiem
prawdziwym człowiekiem a

ja — gdy okazało się, że nie zabiłem
się po tym cholernym
skoku — jestem człowiekiem nienor-
malnym.

JAN PAWEŁ KRASNODĘBSKI

HENRYK WOLNIAK

WIERSZY

UZWIERZĘCIE

Spłoszony nędzarz pędzi
przed sobą owcę głodu
dopiero nóż zardzewiała
na własnym gardle
czyni go panem
wszelkiego stworzenia

Jak z klatek schodowych
wyprowadzają na smyczach
swoje ostatnie dni
jak zakładają kagańce
swoim przyjaciółom
bo przy misce nieba
człowiek psem
liżącym
boskie rany

BYTOWANIE

Byt bierze płachtę języka
za rogi
Ciągnie ludzkie chomąto
do żołu
— tu mu zdychanie
— tu mu rodzenie
w pocie czoła
obok osła pokory

Dokąd pojedę na ośle pokory
z tych biur pełnych siódmych potów
— na łąki chodzące o kulach
siwym dmuchawcom wrywać włosy
Dokąd pojedę na ośle pogardy
z dzidą słowa wbija między żebra
wybieraj ośle złoty środek
przed zgorzeniem wśród ludzkich
odchodów
Niech niebo wypełnia się prochem
— szarzejąc jak człowiek,

ROZPACZ

Otwieram samotność wytrychem
spotykam się z Bogiem
nie ma dzieci
(Bóg ma)
Nie chcę twarzy wyrzucać — łez
sercu — bicia
ziemi — kręcenia
niebu — ranienia
Bogu — cierpienia
Znam się na ludziach
zdradzą się wszyscy
za jeden księżyc
dłużej wiszący nad ich snem
Wiem skąd płyną sperma i łzy
wiem co się z tego zrodzi
a co wyjałowi
Śmierć — to jałowy sen
po którym nie ma już ran
zadanych przez niebo
Jest tylko Bóg i to w człowieku
wyjałowionym przez spermę i łzy
Ziemia pod męczeńskimi biczami
buja w obłokach trzepocze skrzydłami
za Człowiekiem uczącym się w niebie
za Duchą



Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janickiego 14
pok. 14/15, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P9/S). Redaguje zespół w składzie:
ADAM BUCHELT, WANDA DRYLL (sekretarz redakcji), JERZY GIRULSKI (redaktor
naczelny, SŁAWOMIR HULANICKI, JERZY MACKOWIAK, JERZY MAGER (z-ca redak-
tora naczelnego), MAŁGORZATA MICHAŁAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redak-
tora naczelnego), MAREK SIUDYM, ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAWA SZULC, MARIA
WOJCICKA.
Opracowanie graficzne: ZDZISŁAW WOJCICKI przy współpracy JERZEGO DANIELAKA
i MARIOLI ORZECZOWSKIEJ
Druk: Zakład Graf. Polit. Wrocławskiej, zam. 6543/72 nakład 2300 form. A4 F-15 cena 2 zł.

Sygn.

90/5-7(37)

A-130



ARCHIWUM UCZELNI

Sygn. 90/5-4/130

Miejsce urodzenia 19130